



<http://rcin.org.pl>

50

<http://rcin.org.pl>



**POWIEŚCI**  
**STAREGO WĘDROWCA.**

---

**ZA POZWOLENIEM CENZURY RZĄDOWEJ.**

---

u Drukarzów Maksymiliana Ebmiewskiego.

Egz. archiwalny IBL

# POWIEŚĆ

## STAREGO WĘDROWCA

PRZEZ

AUTORKE

Pamiętników Młodej Sieroty.

*Kwikonowa*

INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-330, Warszawa

Tel. 26-68-53, 26-52-31 w. 42

WARSZAWA,

NAKŁADEM GUSTAWA SENNEWALD.

PRZY ULICY MIODOWEJ NR 486.

1839.

<http://rcin.org.pl>



INSTITUT  
BADAŃ LINGWISTYCZNYCH  
Biblioteka  
ul. Towarowa 16/18  
00-000  
Tel 22-62-00, 22-62-01 w. 42



## W S T Ę P.

---

**O**brawszy za główny cel drobnych pism moich, pożytek, a przynajmniej rozrywkę tego wieku, w którym książki dla dzieci pisane już mocno zajmować nie mogą, dzieła zaś przeznaczone dla osób z zupełnie ukształconym umysłem, jeszcze albo przystępnymi, albo dozwolonemi nie są: spodziewam się że tym zbiorem powieści mile się przysłużę młodém mojem czytelniczkom; każda bowiem nosi oddzielną barwę, każda przedstawia obraz obyczajów lub dziwów natury jednemu tylko krajowi właściwych, a wszystkie tę przy-

najmniej będą miały zaletę: że się zasadzają na prawdziwych zdarzeniach, lub historycznych podaniach, że znaczniejsze w nich rysy skreślone są słowy naocznego świadka, lub wyjęte z dzieł znakomitszych pisarzy, które wszelako nie prędko jeszcze będą w ręku tych, którym to dziełko poświęcam.

W T R W



*[Faint, mirrored text from the reverse side of the page, likely bleed-through or ghosting.]*

## STARY WĘDROWIEC.

---

**J**an B.....cki w dwudziestym siódmym roku życia przeżył wszystko co mu drogiem było; stracił rodziców, żonę, i dwoje ślicznych pełnych nadziei dzieci; znękany i rozżalony tylu stratami zaczął unikać ludzi, bo każdy szczęśliwszym był od niego, każdy miał jakąś istotę co go kochała i przywiązywała do świata; szczęście to drażniło zbolełe jego serce, nie mógł na nie patrzeć, bo tylko on jeden samotnym był na świecie, tylko on nie miał się do kogo uśmiechnąć, ani przed kim zapłakać. — Lecz próżno stronił

od towarzystwa, samotność zwiększała jego cierpienia, każdy kącik w domu, każde drzewo lub krzaczek w ogrodzie, przypominały mu czas który tak słodko spędził wśród swojej rodziny, a teraz wszystko głucho i opuszczone boleśniej go jeszcze raziło.

Sądząc że zmiana miejsca złagodzi żal jego, spieniężył cały majątek, i udał się w podróż; z początku mało go zajmowały nieznane dotąd widoki, lecz ciągły ruch i niewygody nieodłączne od dalekiej drogi, zmuszały go niejako do myślenia o sobie, do zapominania choć na chwilę ponurego smutku, co od dawnego czasu towarzyszył mu nicodstępnie. Później, kiedy przebywszy Niemcy na które niepatrzył prawie, stanął w Szwajcaryj, i szukając samotności wdarł się na najwyższe góry tego kraju, poglądając na piękności natury, wielbiąc wielkie dzieła Boga, uczuł że Pan co tak wspaniale świat ten stworzywszy oddał go w zarząd i użytek ludziom, zapewne szczęścia ich pragnie; i że niewdzięcznością by by-

ło, wśród tylu skarbów, tylu cudów, szukać żywołu dla troski a nie źródła pociechy.

Z tą myślą lubo nie zupełne szczęście, przynajmniej pokój wstąpił do duszy Jana; po długim obcowaniu z Bogiem i naturą, smutek jego łagodniejszą przybrał postać, powoli nie zsamémi tylko drzewami i skałami, lecz i z ludźmi przestawać zaczął; poglądał na nich z zajęciem, z uwagą, poznawał jak liczne drogi do szczęścia ich prowadzą, i kiedy niewolno mu było żyć w własnej rodziny kole, kiedy utracił imię syna, małżonka, i ojca, postanowił w braterskiem uczuciu szukać wynagrodzenia tej straty, cały świat uznać za dom swój, wszystkich ludzi za braci, poznać ich zwyczaje i potrzeby, pocieszać lub pomagać w strapieniach, radzić błądzącym, sercem dzielić radość szczęśliwych, a kiedy pustki i głucho milczenie zaległy rodziną jego zagrodę, duszę swą wylać na całą ziemię, i we wszystkich jej stronach zjednać sobie słodkie brata i przyjaciela nazwisko.

Taki zamiar powziąwszy, Jan rozporządził swój majątek w sposób, aby nie potrzebując sam nim rządzić, mógł jednak pobierać dostateczne i pewne dochody; wtedy dopiero rozpoczął już nie podróż, lecz wędrowkę po świecie, nie jechał pocztą od miasta, do miasta, nie wybierał wielkich gościńców, skromnym powozem przebywał kraj każdy po najmniej uczęszczanych drogach, zatrzymywał się w piękniejszych miejscach, a gdzie mu się charakter i obyczaje ludu podobały, osiadał na czas niejaki.

Spełniły się jego zamiary; światły, łagodny, gotowy do udzielenia wsparcia w każdym względzie, wycierpiawszy tyle, umiał płakać z cierpiącymi, umiał się już i do cudzego szczęścia uśmiechać, a kiedy go drobne otoczyły dziatki, jak ojciec bawił się z nimi, i zajmującemi rozrywał powieści; to też gdzie tylko czas jaki zabawił, z szczerym żegnano go żalem; któredy powtórnie przechodził, witano z radością, i dotąd jeszcze w niejednym obcym kraju imię Ja-

na B..... z rzewném uczuciem wdzięczności i przywiązania wspominaném bywa.

Niezmienił on raz przyjętego sposobu życia, podróżował ciągle; znał prawie każdy kącik Europy, był w ziemi świętej, zwiedził Afrykańskie wybrzeża, kilka lat przemieszkał w Ameryce, a nigdzie nie był obcym, bo gdzie tylko byli ludzie biali, czarni, czerwoni lub oliwkowi, wszędzie widział bliźnich, dla wszystkich miał życziwe i przyjazne uczucia.

W sześćdziesiątym roku życia po raz ostatni wrócił do swego kraju, trzeba mu było odetchnąć domowém powietrzem, i zdrowie nadwreżone tyloma trudami potrzebowało spoczynku. Dawni jego przyjaciele wymarli, lecz wkrótce otoczyli go nowi; w tém miejscu gdzie się urodził wznosił sobie mały wygodny domek, ten ogród, te pola z których przed laty uciekał smutny i niešťeśliwy, zabrzmiały odgłosem szczęścia i przyjaźni, ze wszech stron zjeżdżali się sąsiedzi Jana, lub zapraszali go do siebie,

bo jak dusza jego tkliwą i życzliwą była, tak każda rozmowa mogła się stać źródłem prawdziwej korzyści. Staruszek lubił towarzystwo, chętnie udzielał drugim swego doświadczenia, lecz najmiliej mu było siadłszy pod rozłożystym drzewem, lub obok komina otoczyć się gronem młodzieży i opowiadać co widział lub słyszał w długiej wędrówce.

Pamiętam Jana B:....., zdaje mi się, że patrzę jeszcze na tę wysoką wychudłą postać, na tę twarz miłą i pogodną choć głębokimi pooraną zmarszczkami; pamiętam i tę chwilę, kiedy po kilkoletnim spoczynku wybrał się w dalszą podróż, bo w drogę wieczności; jak liczny orszak towarzyszył mu do grobu... jak szczere łzy skropiły jego zwłoki,... i ile westchnień wzniosło się z różnych stron świata, kiedy się wieść o jego śmierci rozeszła.

Nie jedną powieść słyszałam sama z ust jego, powtórzono mi ich nie mało, zebrałam je więc razem w takiej postaci, w jakiej mi



z nich każda utkwiała w pamięci, i pierwszy ten oddział poświęcam wam młode czytelniczki, których umysł tak chciwie chwyta nieznane sobie szczegóły, dusza tak chętnie cnot przykłady naśladuje.

W powieściach tych nie starałam się zachować jednostajności, będzie to już opowiadanie samego Jana, już powtórzenie słów jego przez inną osobę, już téż sama treść znanych mu wypadków mojemi opisana wyrazy; wszelako jeżeli zbiorok ten o tyle zajmie uwagę czytelniczek, o ile niegdyś słuchaczów zajmował, będziemy mogli idąc za starym wędrowcem, przypatrzeć się zwyczajom i skłonnościom mieszkańców znaczniejszych okolic, które pewnie nie każdej z nas osobiście zwiedzić wypadnie.



## M A C O C H A.

---

**P**ewnego wieczora, kilka młodych paniek, (między którymi i ja się znajdowałam) siedząc około okrągłego stołu, litowały się nad jedną z swoich towarzyszek, która ze łzami w oczach i niechęcią na twarzy żaliła się na przykre postępowanie macochy. Mało znałyśmy przybraną matkę naszej przyjaciółki, wszelako każda z nas nie szczędziła szyderczych spostrzeżeń i żarcików nad jej osobą i obchodzeniem się, roztrząsałyśmy opowiadane nam jej słowa i czyny, a w końcu ogłosiłyśmy ją jednomyślnie najniezno-

śniejszą i najzłośliwszą w świecie osobą. Ja osobliwie, powtarzając słyszane kilkakrotnie zdanie, powstałam z oburzeniem przeciw ojcu młodej uciśnionej, który zamiast się sam wychowaniu jedynej córki poświęcić, narzucił jej macochę, »choć przecież każdemu wiadomo, że dobra macocha słusznie by ósmym cudem świata nazwaną być mogła.«

Jan B..... siedząc o kilka kroków od naszego sejmiku, słuchał z uśmiechem i potrząsał głową; spytany czy nie dzieli naszego zdania? czy w samej rzeczy dobra macocha nie jest rzadkiem zjawiskiem? odpowiedział:

— Bez wątpienia! ale téż to nie zawsze z jej winy pochodzi. Nie raz najlepsze chęci, najszczerze starania rozsądnej opiekunki, rozbijają się jak o skałę, o upór i zaślepienie młodej, uprzedzonej istoty....

Staruszek spojrział badawczo w twarz użalającej się przed nami dziewczynki, a ta spuściła nieśmiało oczy, i zarumieniła się jak wiśnia.

—Jeżeli się do innej nie spieszycie zabawy, dodał po chwili: opowiem wam prawdziwe zdarzenie na poparcie tego, com wyrzekł dopiero...

Nie dałyśmy sobie tak miłego zaproszenia powtarzać, otoczyłyśmy w kółko dobrego Jana, a on tak mówić zaczął:

Jeszcze się lato nie zbliżało do końca, gdy w dobrach Pana S. o kilka mil od mego mieszkania położonych, sprzątnięto z pola obfite plony, i do obszernych spichrzów zwieziono; ciągła pogoda i skwarne słońca promienie przyspieszyły dojrzewanie kłosów; wieśniacy szczerze do dobrego Pana przywiązani, nie żalowali trudów i znoju byle żniwo przed 25 Sierpnia ukończyć, bo wiedzieli, że dzień ten drogim był jego sercu, że z prawdziwą rozkoszą obchodzić będzie razem dwie najmilsze mu uro-

czystości, to jest: Okrężne i imieniny swojej jedynej córki, ośmioletniej Ludwisi.

Jeszcze w wigilią Świętego Ludwika, zaczęto się skwapliwie krzątać we dworze, a gdy nazajutrz ranna zajaśniała zorza, w całej wsi powstał ruch niezwyčajny. Chłopcy, dziewczęta, starcy i dzieci niezmiernie byli zajęci; ci czyścili podkówki i kółka u pasów; te dobywały ze skrzynek koralu, gorsetów i świątecznych fartuchów; dzieci splatały wieńce z kwiatów, a gospodarze układali sobie, jakby dziedzicowi imienin córki, i obfitego plonu powinszować.

W mieszkaniu Pana S. także coraz żywiej i głośniej było; sproszeni przed kilkoma dniami goście wczesnie zjeżdżać się zaczęli, a Ludwisia która może pierwszy raz w życiu równo z świtem wstała, nie posiadała się z radości, widząc się ze wszystkich stron obsypaną darami i życzeniami, otoczoną dziewczynkami i chłopczykami swojego wieku.

Około dziesiątej zadzwoniono w kościele; goście i wieśniacy udali się do domu bożego; żniwo jest celem całorocznych zabiegów kmiotków naszych, lud ten rolniczy pracuje ochoczo choć w pocie czoła, byle w nagrodę trudów mieć podostatkiem chleba dla siebie i dla rodziny. Jeżeli więc zbiory odpowiedzą ich oczekiwaniu, każdy z spokojnym i radosnym sercem bieży do świątyni Pańskiej, i dziękuje Bogu darzącemu ich zdrowiem, żywnością i pokojem. Poddani Pana S. modlili się gorąco, szczerą wdzięcznością przejęci; po nabożeństwie, dwaj najstarsi z nich złożyli przed ołtarzem dwa snopy świeżo zżętego zboża, sędziwy kapłan poświęcił tę prostą ofiarę, i po krótkim namomnieniu jak należy godnie korzystać z chojnych darów Boga, rozdzielił plenne kłosa pomiędzy przytomnych, aby je dawnym zwyczajem za belki chat pozatykawszy, patrzyli co dzień na ten dowód błogosławieństwa, które Niebo na cnotliwych, pracowitych choć prostych ludzi zsyła.

Pan S. wróciwszy do dworu, zasiadł z swoim towarzystwem pod gęstemi lipami co ocieniały wejście, i długą tworzyły ulicę. W koło dziedzińca ustawiono długie stoły, i podczas gdy domownicy kończąc ich przybieranie zastawiali sery, wódkę, pieczenie i kołacze, usłyszano zbliżających się włościan; skrzypki i piszczałki ozwały się przy końcu ulicy, a liczne głosy zanuciły chórem następujące słowa:

Daléj żeńcy! idźmy śmiało,

Dożyliśmy święta.

Zytko z pola się zebrało,

I pszeniczka zżęta!

Hejże zwawo, w jedno koło,

Bieźmy ku dworowi,

Raźno, skeczno i wesoło

Nuemy dziedzicowi.

Nie raz on nam w ciężkie czasy

Łzy z oczu ocierał,

Słodził troski i niewczasy,

A niedołę wspierał.



Wdzięczny mu też każdy za to  
Czy młody czy stary,  
Dał nam Pan Bóg dobre lato  
Więc przynosim dary.

Mieszkańcy kilku wiosek podeszli ku dziedzicowi; starzy gospodarze ofiarowali mu najpierwsi garść poświęconego zboża, a najpoważniejszy z nich wystąpił przed gromadę, zabierając się do szumnéj przemowy, której się od dni kilku potajemnie uczył. Odchrząknął, podniósł głowę do góry, lecz spojrzawszy na liczne i świetne zgromadzenie czekające ciekawie jego głosu, zmieszał się nieborak, i spuścił oczy ku ziemi; próżno drapał się za ucho, na próżno czapkę z siwym baranem w ręku obracał, wszystkie z taką pracą ułożone słowa, wypadły mu z pamięci; nakoniec po kilku chwilach milczenia, ośmielił się cokolwiek i zbliżywszy się do dziedzica rzekł:

»Panie! przyszedłem tu z piękną i długą oracyą, ale kiedym jęj zapomniał, to już i po prostu powiem: że my wszyscy winszu-

jemy zbioru, i życzymy długich lat panu i panience; niech ją Bóg błogosławi! niechaj rośnie rodzicowi i nam na pociechę!... daj Boże żeby prędko taką była jak nieboszczka Pani, hobyśmy też nietylko ojca, ale i matkę mieli.»

Rozezuliło Pana S. wspomnienie ukochanej żony którą od lat kilku utracił, ścisnął z uczuciem rękę prostego mówcy, a ten zadowolony skutkiem słów swoich, usunął się wraz z towarzyszami.

Zeńcy kłosami zwieńczeni zajęli ich miejsce; poprzednica w imieniu wszystkich złożyła Państwu ogromny wieniec spleciony starannie ze zboża, kwiatów i owoców, jako godło obfitości wszelkiego rodzaju; Pan S. przyjął dar ten z podziękowaniem, a Ludwisia pobiegła go zawiesić w jadalnym pokoju.

Uprzejmy gospodarz umieściwszy włościan przy stołach na dziedzińcu zastawionych, i przekonawszy się że wszystkiego mają podostatkim, wszedł z gośćmi do do-

mu i zasiadł z nimi do obiadu. Ludwisia jako solennizantka, pierwsze zajmowała miejsce, radość jaśniała z młodej jej twarzyczki; nigdy jeszcze nie była celem tylu starań; nigdy jej imienin tak suto nie wyprawiano, bo Pan S. zajęty licznymi interesami i pogrążony w smutku po śmierci żony, od niedawnego dopiero czasu zaczął wracać do towarzystwa i wesołości.

Pod koniec obiadu, powstał jeden z zaproszonych, wznosząc zdrowie Ludwisi; wszyscy poszli za jego przykładem, odgłos odsuwających się krzeseł i okrzyk: «Niech żyje!» rozległ się po pokoju, a na dziedzińcu sto kilkadziesiąt głosów powtórzyło razem te słowa. Pan S. Ludwisia i wszyscy przytomni pospieszyli do okien; przed ich oczyma rozwinął się widok, na który ci nawet mogliby patrzeć z upodobaniem, co dalekie zwiedzili kraje.

W miejscu stołów ustawiono ławy do koła dziedzińca, a na nich zasiedli starsi włościanie i włościanki, w czystych, powa-

żnych ubiorach, z wyrazem zadowolenia na czerstwych twarzach. W środku ugrabiono piasek i młodzież we dwa stanęła rzędy; chłopcy w krótkich granatowych ferezyjach z czerwonymi wyłogami, i świecącemi haftkami z mosiądzu, białe jak śnieg koszule pod szyją wiązały kolorowe wstęgi, mosiężne kółka brzęczały u rzemiennych pasów, a magierki pawimi piórkami ozdobne na lewe nasunięte ucho, nadawały młodemu wieśniakom śmiałą, szczerą i otwartą jak ich charakter postawę.

Dziewczęta nie ustępowały im w stroju, zgrabne gorsety, kształtne na klinikach trzewiki, sznury koralu na białych szyjach, pęki różnobarwnych wstążek u ciemnych warkoczy, a osobliwie pogoda, wesołość i szczeré do państwa przywiązanie malujące się we wszystkich spojrzeniach, tworzyły mile ożywiony obraz, jaki tylko u nas, i to nie zawsze ujrzeć można.

Między temi dwoma szeregami stali wiejscy muzykanci; spostrzegłszy okna dworskie

napełnione patrzącemi, zagrali skocznego  
krakowiaka, a wieśniacy i wieśniaczki na  
przemiany śpiewać zaczęli.

DZIEWCZĘTA.

Czy to w polu, czy w ogrodzie  
Nie trwoży nas praca;  
Bo się wieczór ku zagrodzie  
Z dobrą myślą wraca.

C H Ł O P C Y.

Czy to zima, czy upały  
Nie idzie nam o to,  
Dobrego pana pochwały  
Droższe są nad złoto.

DZIEWCZĘTA.

Nikt nas nigdy przy robocie  
Nie złaje, nie zfuka;  
Bo nasz dziedzic w łzach i pocie  
Korzyści nie szuka.

C H Ł O P C Y.

A i my też zawsze, wszędzie,  
Zwijamy się ręczo;



Bo wiemy że uczta będzie  
Jak się prace skończą.

DZIEWCZĘTA.

Kiedy niską naszą strzechę  
Nawiedzi strapienie,  
Biegniem we dwór po pociechę,  
I po wspomnienie.

C H Ł O P C Y.

Choć po polu ryczy burza  
Nikt jej się nie boi,  
Bo we dworze gdyby róża  
Pańska córka stoi.

DZIEWCZĘTA.

Niech nam rośnie gdyby kwiatek  
Młoda nasza Pani,  
Nie stać nas na większy datek  
Niśmyż serca w dani.

C H Ł O P C Y.

Ze szczeremi życzeniami  
Jak możemy spieszmy,

W skocznych tonach, podkówkami  
Ognia państwu skrzeszmy!

Muzyka coraz zwawiej grała, rozochoceni śpiewacy już takt podkówkami wybijali, i tylko uszanowanie dla pana wstrzymywało ich na dotychczasowém miejscu; Pan S. widząc to, wyszedł z swemi gośćmi na dziedziniec i podał z uśmiechem rękę poprzednicy, bo słusznie, jest aby ta co innych wyprzedzała w pracy, i w zabawie pierwsze miała miejsce. Ludwisia wybrała także jednego z żeńców, rozpoczęły się oho-cze tańce, szczerą wesołość kmiotków udzieliła się i wyższemu towarzystwu, goście zmieszali się z włościanami, i ci co może przez całe życie z obawą lub pogardą patrzyli na siebie, w tym dniu radości zebrani pod czystém niebem i cienistemi drzewy, uczyli iż ten Bóg co wszystkim tak równo największych swoich darów udziela, wszystkich do szczęścia przeznaczył bez względu na stan lub urodzenie.

Kiedy z ciemną nocą wszyscy się do domów rozjechali, a Agnieszka co Ludwisię wykarmiła i wychowała przyszła rozbierać swoją młodą panią, dziewczynka skacząc i nucąc wesoło, jeszcze się dniem tak miłym nacieszyć nie mogła, jeszcze powtarzała :

— Ah! jakążem ja szczęśliwa!

— Biedne dziecię! rzekła Agnieszka, nie długo się to twoje szczęście zakończy; wysłuchałam ja jak Jegomość z temi paniami rozmawiał, ... nie długo będziesz miała macochę!

— Co to jest macocha? spytała Ludwisia.

— Macocha, Ludwiniu! macocha to największe dla dzieci nieszczęście... jest to kobieta co im dokucza, co im się we wszystkim sprzeciwia, i jeszcze wielkie szczęście jeżeli nie bije.

Pocziwa ale nierozsądna Agnieszka załżała się rzewnemi łzami na samo wspomnienie cierpień które jej ukochane dzieci czekały; widząc ją tak strapioną, Ludwisia również szlochać zaczęła, i dzień



ów mile zaczęty, w największym się smutku zakończył.

Spełniły się wkrótce domysły mamki, Pan S. oznajmił Ludwisi że dla niej drugą wybrał matkę i że ją za kilka tygodni zobaczy. Nadeszła ta okropna dla dziewczynki chwila; w ładną świeżą sukienkę ubrana, miała wyjść na spotkanie Państwa S. wracających od ślubu, lecz rozmowy z Agnieszką tak jej zawróciły głowę, tak sobie okropnie wystawiała macochę, że usłyszawszy zajeżdżający powóz, uciekła do salonu i skryła się w kącik. Zmartwił się tém Pan S., jego żona zbliżając się do Ludwisi przemówiła tak łagodnym głosem, że dziewczynka obawiająca się połajania, z zdziwieniem podniosła oczy, i ujrzawszy zamiast przykrych rysów, twarz młodej i miłej kobiety, ośmielila się cokolwiek. Pani S. wzięła Ludwisię za rękę, posadziła przy sobie na kanapie, dała jej cukierków, pieściła się, rozmawiała z nią uprzejmie, i w wieczór kiedy Agnieszka przyszła do swo-

j jej wychowanki, Ludwisia wyznała, że ma-  
cocha nie tak straszna jak się jej zdawało.

— Daj Boże żeby tak zostało! rzekła  
z niedowierzaniem Agnieszka; miała słu-  
szność; bo zaraz nazajutrz Ludwisia przy-  
krego doznała wrażenia.

Włóścianki dopełniając dawnego zwycza-  
ju przyszły do dworu z daniną dla nowej pa-  
ni. Piękny ten zwyczaj podobno tylko u  
nas istnieje; w innych krajach przybycie  
pani do dworu, poddani obchodzą świętą  
uroczystością, wiją splety kwiatów, wień-  
czą i usypują nimi wnijście; ładne to są  
lecz nie trwałe oznaki radości; nasze wie-  
śniaczki inaczej jej dowodzą.

Pomne jak liczne kłopoty czekają młodą  
gospodynię, pragną jej ulżyć trudzących  
zachodów przynajmniej na pierwszym wstę-  
pie do domu; ze wszystkich stron znoszą  
masło, kury, gęsi, jaja, miód, воск, prze-  
dę, słowem wszystko co tylko w gospodar-  
stwie przydadź się może. Każda włóścian-  
ka dumna że swego dostatku pani udzie-

lic może, wybiera co ma najlepszego, byle dowieść jak wszystko kwitnie w jej chacie, jak chętnie składa daninę tej która ma być opiekunką wsi całej, która nie raz znajdzie sposobność zawdzięczenia tej życzliwości.

Chociaż Pani S. zastała dom opatrzony we wszelkie zapasy, mile wszelako przyjęła dary pocziwych niewiast, i podziękowała za nie serdecznie, a mąż jej zaprosił wszystkich swoich poddanych na niedzielę do dworu. Po obfitym obiedzie, nastąpiły znów śpiewy i tańce jak podczas okrężnego, ale Ludwisia nie tak już była wesołą; wszystkie piosnki i życzenia już nie do niej lecz do Pani S. zwracano, nie ona była pierwszym przedmiotem uroczystości; próżność, zazdrość ścisnęła młodej dziewczynki serduszko, położyła się spać z westchnieniem, i opanowało ją smutne przecucie, że wkrótce nie jedna, nie miła zmiana w jej życiu nastąpi.

Jakoż w krótkim czasie sprawdziły się obawy Agnieszki i Ludwisi; Pani S. rozpatrzywszy się dobrze w domu, zaprowadziwszy w nim jak największy porządek, całą uwagę zwrociła na swoją przybraną córkę.

Ludwisia zostawiona dotąd pod dozorem Agnieszki robiła co jej się tylko podobało, bo Pan S. często wyjeżdżający z domu nie mógł na nią pilnego dawać baczenia, a mamka utrzymywała że dzieci najszcześliwsze są wtenczas gdy im się nikt nie sprzeciwia. Wstawiała więc raz o szóstej, drugi raz o dziewiątej, czasem nawet o jedynastej godzinie; aż do obiadu chodziła nie umyta, nie obuta, nie uczesana, bo Agnieszka utrzymywała że tak wygodniej; jadła co i kiedy chciała, ehorowała z tego nie raz, nakoniec nie zajmowała się niczém; biegała po ogrodzie lub podwórzu z Anusią córką Agnieszki, stroiła lalki, ziewała lub narzekała na nudy. Wtedy troskliwa mamka brała ją na kolana i usypiała opo-

wiadaniem okropnych o strachach lub zbójcach powieści.

Pani S. przypatrzwszy się temu dobrze poznała że nie mało będzie miała trudu, nim Ludwisię do nowego sposobu życia przyzwyczai; lecz pragnąc z duszy jej szczęścia, odważnie przyłożyła rękę do dzieła.

Zaczęła ją budzić regularnie o siódmej godzinie, kazała się ubierać natychmiast i to przy sobie, potem mówić pacierz który Ludwisia jeszcze nie bardzo dobrze umiała, i dopiero prowadziła ją do pokoju ojca, gdzie razem siadali do śniadania.

Nie podobało się to wszystko dziewczynce, jednakże nie śmiała nic mówić, a Agnieszka potrząsając niechętnie głową, mawiała:

— Bogdajby się tylko na tém skończyło!..

Pan S. kochał niezmiernie Ludwisię, i nigdy nie odmawiał jej niczego; nie żałował pieniędzy na jedwabne i muślinowe sukienki, na ałłasowe trzewiczki, lecz cóż z tąd? nie pilnowano tego wszystkiego, nie czyszczono, nie naprawiano, cała więc gar-

deroba Ludwisi w najgorszym była stanie. Pani S. nasprawiała jej sukien płóciennokowych i merynosowych, bo te są trwalsze i można je prać ile razy się zasmolą, muszlinowe pelerynki zajęły miejsce szalików, zamiast przydeptanych jedwabnych trzewików, kazała nosić skórzane lub prunelowe, lecz zawsze całe i porządne, a Ludwisia świeżo choć skromnie ubrana, ładniejszą była jak dawniej i nie skarżyła się na tę zmianę; tylko Agnieszka patrzyła na to z ukosa mrużąc:

— Jak téż to pańskie dziecko ubierają! wszakże i moja Anusia tak chodzi!...

Lecz gorzej było daleko, kiedy Pani S. zamiast paść Ludwisię od rana do nocy, tylko pewne godziny na jej posiłek wyznaczyła, kiedy ciasta i owoców tylko na podwieczorek dawać zaczęła, a wina odmówiła zupełnie. Dziewczynka przed którą dotąd wszystkie szafy otworem stały, zasmuciła się tém niezmiernie, i lubo Pani S. tłómaczyła jej z dobrocią że używanie wina

i słodyczy szkodliwem jest dla dzieci, Ludwisia z pomocą Agnieszki uroiła sobie, że macocha jest skąpą, i przysmaczków jej żałuje.

Odtąd większą jeszcze niechęć powzięła ku Pani S.; w każdym jej napomnieniu, w każdym niemal słowie widziała dowód złośliwości; kiedy naprzykład zawoławszy Ludwisi, posadziła ją na kolanach u siebie i chciała uczyć szycia, czytania, lub robienia pończochy, dziewczynka brała Z za A, spuszczała oczy z drutów, zrywała nici, łamała igły, nie dla tego żeby nieczręcną być miała, ale jej się zdawało, że nauczywszy się czegokolwiek, będzie musiała pracować bez odpoczynku, a praca okropną jest dla tych co już do próżnowania przywykli.

Namęczywszy przybraną swoją matkę, Ludwisia biegła na podwórze do czekającej na nią Anusi, aby jak mówiła odetchnąć trochę po trudach; lecz kiedy pewnego razu Pani S. zawołała jej na powrót i o-

świadczyła łagodnie lecz stanowczo, że nie pozwoli na zabawę z dziewczyną, która wychowana między prostym ludem, była nieobyczajną, i nieprzyzwoitych używała wyrazów; Ludwisia zalała się gorzkimi łzami, i poszła do mamki, mówiąc:

— Oj! prawdę mówiłaś kochana Jagusiu, wielkie to nieszczęście macocha!

Pani S. chcąc rozerwać Ludwisię brała ją z sobą na przechadzki i w odwiedziny, czytała zajmujące powieści, nawet suknie i kapelusze dla lalek małej niewdzięcznicy robiła, lecz ona nieczuła na to wszystko, powtarzała z zasępieniem, że wolałaby daleko bawić się z Anusią. Pani S. kochała szczerze Ludwisię, a widząc że za tyle starań, niechęcią jej odpłaca, trapiła się tém niezmiernie, bo sądziła że jej natura dała złe i niewdzięczne serce.

✓ Tym sposobem przeszło całe pół roku; Pan S. wyjechał z domu na kilka tygodni, a nazajutrz po jego wyjeździe Ludwisia zasłabła; z początku miała tylko gorączkę,



lecz dobra macocha obawiając się mocniejszej choroby zakazała jej wychodzić z pokoju, bo na dworze zimno i wilgotno było, ziółka przeznaczyła za napój, i odmówiła ciasta i owoców. Pieszcząc Ludwisię przekładała jej że dla tego tylko tak postępuje aby nie pogorszyć słabości, i że skoro wyzdrowieje otrzyma wszystko co zechce; dziewczynka rozdrażniona zaczęła płakać, tupać nogami, i powiedziała nakoniec, „że nie cierpi złej macochy, i póty krzyczeć nie przestanie, dopóki ona z jej pokoju nie wyjdzie.“

Zasmucona Pani S. widząc że się gorączka wzmaga, wyszła zostawiwszy Agnieszkę przy chorąg, a sama pojechała po lekarza mieszkającego nie daleko, po którego już kilka razy napróżno posyłała.

— Otóż to mi matka! rzekła Agnieszka usłyszawszy turkot powozu: odjeżdża od chorego dziecięcia! ale to nic nieszkodzi! lepiej ci przy mnie będzie mój ty skarbie drogi; nie będę ci się przeciwiać ani cię

martwić... masz oto gruszczkę, to ci nie zaszkodzi.

Ludwisia uspokojona cokolwiek, zjadła gruszkę, napiła się wina, objęła mamkę za szyję i usnęła wkrótce.

Lekarz przybył z Panią S. i oświadczył że dziewczynka ospy dostanie; jakoż okropna opanowała ją gorączka, przebudziwszy się nie poznawała nikogo, tylko z całej siły wołała Agnieszki, prosząc aby macochy do niej nie puszczala.

Można sobie wystawić ile tkliwa opiekunka Ludwisi cierpiała słysząc takie wyrazy, nie śmiała się jednakże zbliżyć, aby mocniej nie rozdrażnić chorą; tylko z daleka przygotowywała wszystko czego jej było potrzeba. W kilka dni dopiero okazała się ospa; wyszła na twarz a szczególnie na powieki, tak że Ludwisia oczu otworzyć nie mogła; lekarz nie wyjeżdżający już z domu Pani S. pilnował ciągle jej córki, i pojąć nie mógł z kąd mimo jego starań brała się okropna gorączka, nie opuszczająca

Ludwisi; nie domyślał się, że usłużna Agnieszka chcąc dogodzić swojej wychowance, kryjomo pod fartuchem przynosiła chleb, piwo, słowem wszystko czego dziewczę żądało, a lekarz zakazywał.

Była by pewno zgubiła Ludwisię, lecz nie przebywszy jeszcze ospy, sama tej okropnej uległa chorobie. Inna osoba zastąpiła ją przy słabém dziecięciu; wprawdzie nie dogadzała ona ślepo wszystkim urojeniom, lecz za to z jaką troskliwością wypełniała, uprzedzała nawet życzenia, których zadość uczynienie szkodliwém byź nie mogło. We dnie ani w nocy nie wychodziła z pokoju chorej; cierpliwie, łagodnie znosiła jej dziwactwo, a było ich nie mało; i nie raz kiedy się Ludwisia uskarżała że jej leżeć nie wygodnie, siadała na łóżku, podnosiła ją lekko i po kilka godzin trzymając na ręku, słodkie i tkliwe dumki nuciła.

Długo nieprzytomna sobie Ludwisia nie poznawała kto jej dogląda, lecz w kilkanaście dni przysłuchując się miłemu głosowi pilnującej spytała:

— Czy to ty śpiewasz Jagusiu?

— Nie, Agnieszka sama chora, dostała ospy.

— Mój Boże! odemnie! zawołała z żalem Ludwisia. Ale któż ty jesteś? dodała po chwili; ty co się ospy nie boisz i tak czule mię dogładasz?... gdybym nie wiedziała że macochy w domu nie ma, myślałabym że to ona... Tak macie podobne głosy!... ależ ona pojechała zdaje mi się...

— Tak jest, rzekła pilnująca.

— Ah to dobrze! moja droga! co ona mi też nadokuczała!...

Ludwisia nierównie już mocniejsza zaczęła opowiadać co Pani S. czyniła dla niej przed słabością, lecz wykładając po swojemu wszystko na złą stronę.

— Nie prawdaż? rzekła w końcu: ona mnie nie cierpi?... o! i ja jej też nie lubię, nigdy lubić nie będę!

Łzy zalały oczy dozorczyńni, musiała wyjść z pokoju, aby ukryć wzruszenie.

Ludwisia pomału sił nabierać zaczęła, wyrzuty schodziły z twarzy, i zdawało się że wkrótce oczy otworzyć będzie mogła; często rozmawiając z swoją dozorczynią, przywiązała się do niej całą duszą, i niecierpliwie wyglądała chwili w której jej ujrzy.

— Ah jak ja cię Kocham powtarzała jej nie raz; tyś taka dobra, tak piękne umiesz powieści, tak mile ze mną rozmawiasz; nie tak jak moja macocha...

Pilnująca ucałowała dziecię, lecz im więcej było nadziei że Ludwisia przejrzy, tém rzadziej zbliżała się do jej łóżka, a gdy się powieki uchyliły cokolwiek, starała się tak stawać aby jej rysów dojrzeć nie było można.

— Zaśpiewaj mi co! rzekła raz Ludwisia do swojej dozorczyńni, gdy wieczorem przy jej łóżku lecz po drugiej stronie firanek siedziała, a ona jak zawsze powolna temu wezwaniu zaśpiewała następną piosnkę:

Rosną kwiaty na dolinie  
Lekki wietrzyk je pochyła,  
A wśród kwiatów strumyk płynie  
Co je chłodzi i zasila.

Lecz gdy czasem wzdęty falą  
Zwiędłe listki mocniej zrosi,  
Jakże się nań gorzko żalą  
Chociaż im życie przynosi!

I ty dziewczę jak te kwiatki  
Nie raz czoło tve zachmurzysz,  
Nie raz na głos tkliwej matki  
Westchniesz, albo się oburzysz.

Nie wiesz jak ją serce boli  
Gdy ci się zasępic zdarzy.  
O nie ma większej niedoli  
Jak łzy widzieć na twój twarzy.

— Ah pokaż mi się! przerwała wzruszona  
Ludwisia; już tak dawno pragnę cię po-  
znać!

— Boje się, rzekła pilnująca: przestaniesz  
mię kochać....

— Nigdy! zawołała dziewczynka.

— Ale, bo ja nietylko z głosu, lecz i z twarzy jestem bardzo do Pani S. podobna...

— To nic nie szkodzi! ja cię już nigdy kochać nie przestanę, choćbyś nawet była samą moją macochą.

Wtedy, uchyliły się zwolna firanki łóżka, i w bladłej, trudami i bezsennością zmienionej twarzy swojej pilnującej, Ludwisia poznała Panią S.

W pierwszej chwili krzyknęła, i zakryła sobie oczy, lecz nie był to krzyk przestachu, bo wnet łzami zalana rzuciła się na szyję Pani S. wołając:

— O moja matko! daruj! tyś nie spała, nie jadła, pilnowałaś mnie dniem i nocą... ah jakażem ja niewdzięczna!... ile ty ode mnie ucierpieć musiałaś!....

Pani S. przycisnęła do serca Ludwisię.

— Nie myślmy już o tém, powiedziała łagodnie; tylko nie mów że mnie nie cierpisz, bo ja cię szczerze kocham.

— Wiem, wierzę, ja to sobie nie raz myślałam; ale Agnieszka...

— Widzisz lube dziecię że Agnieszka nie ma dość rozsądku aby złe od dobrego rozróżnić; przyrzecz mi więc że odtąd nie jęć, ale mnie wszystkiego zwierzać się będziesz.

— Przyrzekam! we wszystkiem będę ci posłuszną... dobra mama! nie bała się ospy... na ręku mię nosiła... a ja!... oh, jak cię też za to teraz kochać będę!

Ludwisia dotrzymała słowa; wyzdrowiawszy zupełnie, wzięła się szczerze do roboty i nauki, a kiedy Pan S. ukończywszy ważne interessa wrócił do domu, i przywiózł jej *Rozrywki dla Dzieci*, już je sama czytać mogła.

Agnieszka chorowała daleko dłużej od swojej wychowanki, nie poznała jej przyśzedłszy do zdrowia, bo dziewczynka zawsze posłuszna i zajęta, ciągle była wesołą, i nie nudziła się nigdy, a nie tyle wdzięku nie dodaje naszej postaci jak wesołość i spokojność wewnętrzna.



Pani S. pozwalała Ludwisi pomagać we wszystkich prawie zatrudnieniach, dziewczynka wzrastając pod jej dozorem co dzień miłszą i szczęśliwszą się stawała, i raz kiedy wracały z chaty ubogiej staruszki, którą Ludwisia wraz z Panią S. opatrzyła w zupełnie zimowe ubranie, wzruszona jeszcze wdzięcznością i błogosławieństwem sędziwej niewiasty rzekła ściskając matkę:

— Ah mammo! gdyby nie ty, nigdybym takiego szczęścia nie doznała. Jak ja ci za to odpłacę?...

— Nie nazwiesz mnie już teraz złośliwą macochą? spytała z uśmiechem Pani S.: nie będziesz utrzymywała że macocha koniecznie złą byź musi?

Za całą odpowiedź dziewczę rzuciło się na szyję swjej opiekunki, i w kilka, w kilkanaście lat potem, nawet w tedy gdy ją własne otaczały dziatki, powtarzała z wdzięcznością że całe swoje szczęście winna jest staraniom macochy.

Staruszek przestał mówić; zajęła nas jego powieść tém mocniej, że jej szczegóły lubo zdrobnione i przesadzone gdzie niegdzie, widocznie były zastosowane do młodej naszej przyjaciółki, której rumieniec i pomieszanie przy każdym trafniejszym rysie jej postępowania, dowodziły że rozumie naukę dobrego Jana. Nie zapomniała jej i w przyszłości, bo nigdy odtąd mimo częstych pomiędzy nami stosunków, nie słyszałam aby się na swoją uskarżała matką.

## NOCNA PRZĄDKA.

---

**K**iedy pierwszy raz przebywałem Niemcy, (była to pierwsza moja z domu wycieczka) kraj ten mało mię zajął; w prawdzie piękne widoki zatrzymywały oko niekiedy, ale ludzie i ich obyczaje zupełnie mi się nie podobały. Przywykłego do gościnności naszego kraju, gdzie każdy chłopiek mile przyjmie w chałupie choć nieznanego wędrowca, a spotkawszy się na

gościńcu zawsze uprzejmie przemówi lub przynajmniej pozdrowi, raziała zimna obojętność Niemców, którzy na powitanie podróżnego ledwie skinieniem głowy odpowiedzieć raczą, i nawet kącika przy kominie bezpłatnie nie udzielą. Ale później, gdy poznałem obyczaje kilku narodów, kiedy ocierając się między obcymi straciłem wrodzone moim ziomkom uprzedzenie do cudzoziemców, i uważnie na Niemcy i Niemców poglądać zacząłem, przekonałem się, że w wielu względach, nietylko nad nami, lecz nad innemi krajami pierwszeństwo im się należy.

Prawda że Niemiec idąc drogą nie zatrzymuje się dla gawędki lub patrzenia na przejeżdżających, bo też czas jego jest droгим i wyrachowanym, bo on ani chwili na próżno nie traci. Przyjawszy w domu cudzoziemca przyjmuje za to zapłatę, a nawet jej żąda; bo sam nie przywykł brać cokolwiekbądź bezpłatnie, i w drobnych nawet rzeczach być drugim ciężarem; a

potem któżby pare groszy żałował, kiedy za nie może spocząć w czystej ciepłej wywietrzonej izbie, kiedy mu stół grubą lecz jak śnieg białą nakryją bielizną, kiedy masło i kartofle w świecących od czystości naczyaniach, zastawi zgrabna, uprzejma, choć milcząca gospodyni? Niemiecki rolnik nie pójdzie w święto do karczmy jak nasz chłopak, od rana wystrojony w świąteczny kaftan, z wiązką kwiatów w ręku i z książką pod pachą, idzie do kościoła; po nabożeństwie wraca na obiad do domu, pożywszy go z rodziną rozpiera się w wygodnym krześle, i podczas kiedy mu baczna żona stawia na stole dzban ciemnego w domu warzonego piwa, a dzieci pilnują aby nieodstępna fajka gospodarza ciągłym ogniem tłała, rachuje w myśli szkody i korzyści całego tygodnia, układa sobie plany na dni następne, lub czyta gazetę; (bo w Niemczech każdy prawie wieśniak czytać umie i lubi) wieczorem zaś, w zimie przy ogniu, w lecie pod drzewem, siada otoczony familją, czyta

biblję, opowiada co widział i słyszał w młodości, lub śpiewa pobożne pieśni.

Sposób postępowania tak różny od naszego, musi też odmienne wydawać owoce; w Niemczech nie ma prawie piędzi ziemi, którejby korzystnie nie użyto; wieśniak przemysła nieustannie jak swoje grunta poprawić, jaki rodzaj zboża lub warzywa więcej zysku choć więcej i trudów przyniesie; gospodyni nie spoczywa na chwilę, w ciągłym ruchu czyści, zdobi swoje mieszkanie, chodzi koło nabiału, i wyszukuje środków jakimi by domowe przychody pomnożyć. To też jak miło spojrzeć na domek niemieckiego rolnika! ściany jego zewnątrz i wewnątrz jak śnieg białe, posadzka z drobnej czerwonej zawsze czysto utrzymanej cegły; łóżka napełnione pościelą białemi osłonionemi kotary, u okien zawieszzone firanki, największą zaś mieszkalnej izby ozdobą jest wielka pełna naczyń szafa. Naczynia te cynowe, gliniane, fajansowe, używane co dzień, są jednakże tak czyste i lśniące, że patrząc

na nie, możnaby pomyśleć, iż niemki tylko to jedno mają zatrudnienie, a jednak ileż to one rzeczy robią o których się wiejskim naszym gospodyniom nawet i nie marzy!

Takie jest wszędzie prawie życie wieśniaków w Niemczech; urządzenie domu, ubiór, zatrudnienia, zmieniają się wprawdzie podług stanu, majątku i znaczenia osób, lecz wszyscy odznaczają się porządkiem, rzetelnością, zabiegłością o powiększenie swojego mienia. Nie wiem czy charakter z takich przymiotów złożony, mniej jest wzniosły i szlachetny od innych, lecz wyznaję że we mnie prawdziwy wzniecea szacunek. Nie raz mówiłem o tém z Niemcami, najwięcej zaś przyjemności sprawiały mi takie rozmowy z *Janem Wollerem*, którego poznałem w Szląsku w górach olbrzymich. Zwiedzałem je jak wszystkie inne miejsca z ciekawości, *Woller* przebywał je z potrzeby; posiadał bowiem w bliskości *Warmbrunn* znaczną fabrykę lnianej i bawełnianej przędzy, co wiosną więc jeździł po ca-

łym kraju skupując materyały. Lubo w wielu względach nasze zdania się różniły, w ważniejszych zawsze były zgodnemi, polubiliśmy się nawzajem i *Woller* usłyszawszy że radbym czas jakiś zabawić w Szląsku, aby poznać dokładnie klasę fabrykantów, rzekł:

— Jeżeli W Panu wszystko jedno, bawić w tém lub owém miejscu, to i u mnie jest maleńka i nie droga izdebka do naięcia, robotników nie mało, w domu jak u każdego innego fabrykanta, i wyznaję że chętnie bym nawet talara od miesięcznej ceny tego mieszkania odstąpił, byle czasem, po skończeniu całodziennej pracy, mieć przecież z kim pomówić.“

Przyjąłem chętnie propozycję poczciwego fabrykanta, za dni kilka mieszkałem w małej bardzo czystej izdebce pod strychem, pijałem kawę, obiadowałem, wieczerałem codziennie z całą rodziną, i płaciłem dwa złote polskie na dobę. Łatwo sobie wyobrazić jak mały zysk musiał z tąd wypły-



wać dla *Wollera*, nie odrzucał go jednakże lubo posiadał krocie, a ledwie że nie milionami rozrządzał; tak wiernie trzymał się zasady co go do majątku doprowadziła, „nie opuszczać najmniejszej, byle godziwej korzyści.“

*Woller* był wdowcem od lat kilku, dwoje tylko miał dzieci, syna i córkę; *Ernest* mogący wtedy mieć lat ośmnaście, ukończył był nauki w szkole kupieckiej w *Magdeburgu*; córka *Fryderyka* o trzy lata młodsza od brata, nie opuszczając rodzicielskiego domu, odebrała jak najlepsze wychowanie. Nie grała ona na żadnym instrumencie, nie rysowała drobnych widoczków, nie znała powierzchownie obcych języków, lecz własnym umiała pisać poprawnie i rozsądnie mówić; znała dokładnie krajowych pisarzy, lubiła nauki przyrodzone, rozumiała *Historję*, pamiętała *Jeografję*, posiadała wyższą rachunkowość, dokładną znajomość wszelkich szczegółów gospodarstwa i kobiecych robót.

Każdy inny ojciec poprzestałby może na tém iż dzieciom swoim dał dobre wychowanie i majątek zapewnił; lecz Wollerowi mało tego było; chciał on w swego syna i córkę wpoić zamiłowanie pracy i porządku tak nicodbicie w każdym, szczególnie zaś kupieckim stanie potrzebne; chciał im pokazać że każdy człowiek w sobie samym powinien szukać źródła szczęścia i dobrego bytu; gdy więc Ernest powrócił do domu, i przypatrzył się jakim porządkiem szło wszystko, Woller po niedzielnym obiedzie sam z dziećmi w jadalnej izbie zostawszy tak do nich przemówił:

— Wiecie od dawna, że wszystko co tylko posiadam, do was kiedyś należeć będzie; wszelako, człowiek poświęcający się handlowi dziwne nie raz koleje przechodzić musi, łatwo więc wypaść może, że choć teraz do zamożnych nas liczą, wkrótce zupełnie ubogimi będziemy... Nie lękam się o waszą przyszłość; ty Erneście w każdym handlowym domu znajdziesz przyzwoite

miejsce; Fryderyka choćby się ze mną rozstać musiała nie dozna także nędzy... chciałbym jednak abyście, jeżeli wam dom mój opuścić wypadnie, abyście mówię posiadali własne, choć maleńkie mienie. Może da Bóg że z pod mojego dachu pod własny przejdziecie, i w takim razie dobrze mieć coś swojego; wasza matka miała sto tysięcy posagu, jednak z prawdziwą pychą pokazywała mi pięćdziesiąt talarów co były owocem jej pracy i oszczędności w rodzicielskim domu... Aby więc przyjść do rzeczy... dotychczasowy kassyer mojej fabryki znalazł sobie korzystniejsze miejsce, i opuszcza mię za miesiąc. Jeżeli się to zgadza z twoją chęcią Erneście, możesz go zastąpić. Obowiązkiem twoim będą wszelkie fabryczne wypłaty i korespondencye, pensya 500 talarów rocznie, a ponieważ każdy Kassyer potrzebuje poręczenia, dasz mi słowo uczciwego człowieka że nienadużyjesz mego zaufania.“

Ernest nie dał sobie dwa razy tak korzystnych warunków powtarzać, pochlebiała mu szlachetna ufność ojca, przyrzekł bez wahania że powierzonych summ strzedz będzie jak zbawienia duszy, i za miesiąc został kassyerem fabryki.

Pamiętając radość zmarłej swojej małżonki z jaką oprócz majątku rodziców przyniosła mężowi owoc swych własnych zabiegów, *Woller* chciał swojej Fryderyce otworzyć zakres do działania i korzyści; oddał jej więc nadzór fabrycznych przątek. Do niej należało co dzień odbierać wyrobioną przędze, ważyć ją, gatunkować, zapisywać w księgę zarobek każdej prządki z osobna, co tydzień podług tego spisu brać od kassjera pieniądze, i płacić robotnicom. Młoda Fryderyka miała ztąd nietylko zatrudnienie, lecz zapłatę od ojca, i miłe dla serca zajęcie. Co dzień będąc w koniecznych stosunkach z prządkami poznała pomiędzy niemi nie jedno szlachetne serce, nie jedną córkę pracującą na wyżywienie

rodziców; nie raz matka kilkorga dzieci, których byt od jej zarobku zależał, otrzymywała od młodej nadzorczyńi pozwolenie pracowania w domu, ażeby drobnym tym istotom nietylko na żywności, lecz i na macierzyńskich staraniach nie zbywało; nie raz nawet w godzinach przeznaczonych na spoczynek robotnic, Fryderyka siadała do kołowrotka tej którą uważała za najbiedniejszą, ażeby jej zarobek powiększyć. Wszyscy pracujący w fabryce *Wollera* kochali szczerze młodą jego córkę, i szanowali syna, którego czynność, gorliwość, ściśle wypełnianie powinności, wzniecały w każdym uwielbienie, a słodką radość w sercu dobrego ojca.

Kiedy w tym zacnym zamieszkałem domu, młode rodzeństwo zajmowało już od pół roku powierzone sobie miejsca; nie raz z podziwieniem patrzyłem na spokojność i akuracność, z jaką każdy członek domu *Wollera* swoją czynność odbywał; fabryka, gospodarstwo jego szło tak porządnie, i

ciszéj jeszcze niż kółka sztucznego zegarka; każdy znał swoje zatrudnienie, oddawał mu się pilnie i nie przeszkadzał drugiemu. Na wszystko były przeznaczone godziny; lecz dopiero kiedy z uderzeniem siódmej wieczorem powstawano od pracy, znikająca cisłość którą przez dzień cały tylko warczenie grępli i kołowroteków przerywało, ruch, gwar, i życie rozlewało się do koła. Osoby mieszkające w fabrycznych zabudowaniach zbierały się w liczne grona przed drzwiami, mężczyźni z fajkami w ustach, kobiety z pończoszkami w ręku, śmieli się i rozmawiali wesoło; Stary Woller w żółtych pantoflach, zielonym szlafroku i czarnej aksamitnej czapeczce, obejrzawszy czy wszystko należycie zamkniętém było, przechodził się po dziedzińcach, patrząc z wewnętrzném zadowoleniem na tyle osób, które jego czynność utrzymywała w ruchu i dobrym bycie. Około dziesiątej, rozmowy mężczyzn, śmiechy kobiet, śpiewy dziewcząt, płąsy dzieci ustawały nagle, wszyscy

wracali do mieszkań, powoli światła we wszystkich oknach gasły, i o pół do jedenastej już tylko głos czujnych brytanów dawał się słyszeć w dziedzińcu.

Przywykwszy do tego trybu, zdziwiłem się raz nie mało, kiedy nieczynnie przepędziwszy dzień cały i niespodziewając się zasnąć tak rychło, siadłem w okienku jego mieszkania, a bez celu poglądając do koła ujrzałem niewielkie światelko w przeciwnym zabudowaniu, i o ile znałem jego rozkład, właśnie w sali przątek, w wydziale powierzonym Fryderyce. Byłoby to skutkiem zapomnienia?... lecz nie podobna, w tej porze roku nie pracowano jeszcze przy świetle; potem młoda nadzorczyńni tak była baczna, że nie mogłem przypuścić aby zapomniała o zupełnym wygaszeniu ognia w miejscu, gdzie najmniejsza jego iskierka mogłaby sprawić niepowetowaną szkodę. Rozmyślając co by to znaczyć miało, zasnąłem w krześle przy oknie; przebudziłem się około drugiej godziny po północy, nie-

docieczone światełko gorzało jeszcze; przypatrywałem mu się pilnie, mniemałem nawet że dostrzegam jakiegoś ruchomego cienia, lecz dziedziniec dzielący mię od fabryki dość był szerokim, szyby w jej oknach niezmiernie małeńkie, nie mogłem więc dojrzeć z pewnością żadnego przedmiotu, tém więcej że w tej chwili zajmująca mię jasność zniknęła i nie ukazała się więcej tej nocy.

W dzień zapomniałem o tak mało ważnym wypadku, lecz w nocy przyszło mi na myśl owe tajemnicze światło, zbliżyłem się do okna i ujrzałem je znowu; czekałem póki nie zgaśnie, świeciło do drugiej godziny, i znowu znikło bez śladu.

Zjawisko to trwało przez kilka tygodni, oswoiłem się z niem nieznacznie, wreszcie wmówiłem w siebie że to może światło stróża czuwającego nad całością budowy lub towarów, i nie przyszło mi do myśli pytać *Wollera* o jego przyczynę. Pewnej niedzieli, fabrykant zaprosił mię z sobą na



przejażdżkę; przejażdżka u Niemców nie jest jak u nas szybkim przesunięciem się w świetnym powozie, owszem, o szóstej rano zaszedł przed drzwi domu długi wóz pleciony z siłowia, zielonem płótnem pokryty, który, nie wiem jakie teraz nosi nazwisko, lecz w owych czasach zwanym był *Planwagen*; Fryderyka upakowała w niego kilka butelek piwa, cukru, cytryn, kawał zimnej pieczeni, ogromną flaszkę sporządzonej już kawy, i zjadłszy lekkie śniadanie, we czworo puściliśmy się drogą do *Hermsdorf*. Prześliczne położenie tego miejsca, wspaniałe widoki do koła, sprawiały żeśmy je zwykle za cel naszych przejażdżek, i przechadzek obierali; przeszedłszy parę razy zamkowy ogród, zostawiliśmy wóz w gospodzie, sami zaś w towarzystwie woźnicy umyśliliśmy wejść aż na szczyt tuż przed nami wznoszącego się *Kynastu*, tej najwyższej z gór olbrzymich, by użyć ztamtąd cudnego widoku rozsypanych do koła gór, jezior, dolin i wiosek. Spocząwszy kil-

ka razy, o samém południu stanęliśmy przed zwałiskami twierdzy *Kynastu* i usiadłszy w cieniu drzewa, podczas kiedy drobna ręka Fryderyki wydobywała dla nas posiłek z koszyka przyniesionego przez woźnicę, rozmowa moja z *Wollerem* i *Ernestem* zwróciła się naturalnie do otwartego przed nami obrazu, do pysznego niegdyś zamku, dziś jak wiele innych dzieł ludzkich w proch się rozsypującego. Żartowaliśmy z podań prostego ludu, co dotąd jeszcze utrzymuje, że piękna pani tego grodu za warunek oddania swęj ręki założyła: aby załotnik konno objechał po murze otaczającym zamek, i otoczonym przepaściami; podziwialiśmy mężstwo i wytrwałość obrońców téj twierdzy, która pomimo licznych napadów i oblężeń, przez czterysta lat ani razu nie przeszła w ręce nieprzyjaciół, lecz dopiero pożarem w roku 1675 zniszczoną została.

Wspomnienie płomieni co tak długo-trwały gmach w krótkiej chwili zniszczyć zdołały, przywiodło mi na pamięć owe światło

migające co noc w drewnianej budowie *Wollera* wśród stosów lnu i bawełny. Nie mogłem się wstrzymać od zapytania, dla czego na to pozwala? Niemiec spojrzął na mnie z zadziwieniem, syn jego utrzymywał że mi się coś przywidzieć musiało, lecz Fryderyka zbladła, postawiła szybko na ziemi kufel kalteszalu przygotowany dla ojca, i złożywszy drżące ręce tak błagalnie na mnie spojrzęła, iż zrozumiałem że jej tylko to niezwyčajne zjawisko jest znanem, a niechcąc dłużej dręczyć zakłopotanej dziewczyny, lubo z trudnością zwróciłem do czego innego rozmowę.

Powoli zeszedliśmy do Hermsdorfskiej gospody, posililiśmy się należycie, i wrócili do domu. Przez drogę nie mogłem mówić z Fryderyką, lecz uważałem pilnie i zdawało mi się że na tej twarzy zwykle tak szczerzej i pogodnej malowała się teraz jakaś obawa. Niepokoiło mię to niezmiernie, widziałem bowiem że młode dziewczę ma jakąś tajemnicę, którą nawet przed ojcem i

bratem ukrywa, a tajemnice w tym wieku zawsze są naganne.

Cały wieczór zszedł na rozmowie z *Wollerem* powierzającym mi plany rozszerzenia swego handlu, wszedłszy do siebie, siadłem przy oknie, patrzyłem długo na salę prządek, lecz światła nie było. Ta okoliczność mocniej mię jeszcze przekonała że nikt inny jak tylko Fryderyka tak długo po nocach czuwała, lecz w jakim celu? postanowiłem objaśnić się w tém koniecznie.

Nazajutrz przypadał kwartalny przegląd kassy, *Woller* pracował z synem przez cały ranek, znalazł księgi i worki w największym porządku, pocałował Ernesta w czoło, (co mu się nie zbyt często zdarzało) przy obiedzie kazał podać butelkę dobrego wina, i napełniwszy wszystkie kieliszki, wniósł toast za zdrowie młodego kassyera za jego rzetelność i akuratność.

— Widzicie; rzekł z zadowoleniem że nie zawsze pieniądze są najlepszą rękojmią; jedynem poręczeniem Ernesta było jego sło-

wo, a przecież dotąd nie tylko że mego zaufania nie nadużył, lecz i swojego nadużyć nie dał...

Uszczęśliwiony fabrykant podał synowi uprzejmie rękę, młodzieniec pocałował ją z uszanowaniem, lecz uważałem że w tejże samej chwili ścisnął z uczuciem rękę siedzącej obok siebie siostry, i łzy błysnęły mu w oczach. Po obiedzie jak zwykle wszyscy rozeszli się do swoich zatrudnień, a Fryderyka wybiegając z pokoju uśmiechnęła się do mnie mile, i położyła palec na ustach na znak milczenia. Nie rozumiałem zupełnie jej postępowania, lecz wieczorem, kiedy zadumany chodziłem po ogrodzie za fabryką leżącym, młody Ernest przybiegł do mnie z otwartymi rękami, i uściskawszy serdecznie opowiedział rzecz całą.

W pół roku od czasu w którym Ernest objął ważne obowiązki kassjera, ojciec wysłał go w interessach na dni kilkanaście do *Warmbrunn*; miejsce to znane z wód mi-

neralnych, co lato licznie odwiedzaném bywa, młody *Woller* znalazł tam wielu znajomych, a nawet szkolnych towarzyszy z Magdeburga; tak więc przez część dnia zajmując się sprawami ojca, resztę czasu przepędzał w miłym sobie towarzystwie; lecz niestety od niewinnych zajmujących przechadzek, przyszło do gry, Ernest wraz z innymi dał się wciągnąć do niej, i jednego wieczora przegrał 300 talarów!... Mimo porady swoich towarzyszy, młodzieniec miał jeszcze tyle mocy nad sobą, że się od dalszej gry wstrzymał, lecz wesołość i spokojność jego zniknęła zupełnie.

Gdy wrócił do domu, uprzejme powitanie siostry, ciągłe zaufanie ojca rozdzierało mu serce, czuł że już na nie nie zasługiwał, rozrządziwszy tém co mu na proste słowo, bez żadnej powierzone ręką. Choć przegląd kassy a zatem i odkrycie winy Ernesta dopiero za dwa miesiące nastąpić mogło, młodzieniec drżał, myśląc jak ojciec przyjmie to wyznanie, on co tak wiel-

ką cenę do rzetelności przywiązywał, co grę za nieszlachetną, występna rozrywkę uważał. Troskliwe oko Fryderyki wnet dojrzało zmiany brata, badała tkliwie o jej przyczynę, dowiedziawszy się ofiarowała chętnie swoją dwumiesięczną płacę i drobne oszczędności, byle ukryć przed ojcem błąd Ernesta, który wiedziała żeby go mocno udręczył, bo Woller nie był z liczby tych ludzi, co pozwalają błądzić w młodości, byle tylko w późniejszym wieku żyć bez skazy. Utrzymywał on owszem że pierwsze choć najdrobniejsze przewinienie, jest jakby pierwszym krokiem na śliskiej i spadziśtej ściesce na którą wstąpiwszy, już się mimo najszczerzej chęci zatrzymać nie można. Brat i siostra obliczyli jak najściślej czém za dwa miesiące rozrządzić będą mogli, lecz niestety! wszystko ledwie 230 talarów wynosiło; a reszta?...

— O resztę bądź spokojnym, rzekła Fryderyka po chwili namysłu; już ja się o nią postaram.

Na próżno wdzięczny Ernest wypytywał z kąd weźmie tak znaczną summę, uśmiechała się tylko zapewniając że nie zaciągnie długu u nikogo. Młodzieniec nie śmiał powątpiewać o jej przyrzeczeniu, nie śmiał nawet o niem wspominać, lecz serce młocniej mu biło im więcej się ów stanowczy dzień przeglądu Kassy przybliżał, a nim pierwszy jego promień oświecił izdebkę Ernesta, już młody winowajca smutny i niespokojny porzucił łóże, nie śmiejąc oczekiwać siostry, ani téż zupełnie tracić nadziei.

Dziewczę dotrzymało danego słowa; wraz z wschodem słońca weszła po cichu do mieszkania brata, i zastawszy go w zamyśleniu wspartym na stole, wysypała nań z radością 70 świetnych talarów. Był to owoc jej dwumiesięcznej pracy. Przez cały ten czas Fryderyka przędła co noc po kilka godzin, a wpisując swój zarobek na imię tej lub owej prządki, odbierała co tydzień zapłatę od Kassyera, aby mu ją w całości złożyć w dniu oznaczonym.



Ernest rozrzewniony takim dowodem przywiązania, postanowił wyznać wszystko ojcu „bo mówił: błąd mój już długim okupiłem żalem, strata wrócona, ale twój szlachetny postępek radością serce jego napełni.“

— Nie, odpowiedziała Fryderyka: żałowałabym przeczuwanych godzin, bo by one żadnego nie przyniosły pożytku, wiesz Ernestie że naszemu ojcu mniej o pieniądze jak o rzetelność idzie; gdyby więc teraz dowiedział się o twojem uchybieniu, już by się nie śmiał spuścić na ciebie, już by z nieufnością na każdy czyn twój poglądał. Jeżeli więc chcesz koniecznie powierzyć mu co się w Warmbrunn przytrafiło, poczekaj jeszcze czas jakiś, wszak to nie pilnego?.... kiedy na przyszłą wiosnę powiesz mu: ojcze! zbłądziłem przed rokiem... już jego zaufanie w tobie będzie ustalonym, już go to wyznanie nie dotknie tak boleśnie, może nawet i przekonać zdoła; że kto raz uchybi, nie koniecznie jeszcze musi się stać występny.

Młodzieniec z wdzięcznością uściskał siostrę, a gdy biegł dopełnić naruszonego worka, Fryderyka dodała:

— Panu B..... możesz powiedzieć dla czego widywał światło w sali przątek, spostrzegł bowiem wczoraj że wiem o niém, a nie chciałabym aby ktokolwiek bądź, tém bardziej zaś cudzoziemiec miał o mnie krzywdzące podejrzenie.

Opowiadanie Ernesta podwoiło jeszcze mój szacunek dla Fryderyki, dla całej rodziny *Wollera* i w ogólności dla charakteru Niemców; bo pewnie w żadnym innym kraju, lekkie wykroczenie przeciw prawom rzetelności nie wzniesiłoby takiej zgryzoty w młodzieńcu, nie natchnęło by jego siostry takim poświęceniem.

Niewiem czy Ernest powiedział to kiedy ojcu, bo wkrótce opuściłem dom *Wollera*, lecz pewny jestem że gdyby kiedy

był w podobnym jak w Warmbrunn niebezpieczeństwie, sama myśl o licach siostry wybladłych długą bezsennością zdołała by go na drodze powinności utrzymać.



## XXV

Zachód słońca, wspaniałe widoki i wy-  
stąpienie słońca, słońce wstąpiło w Szwaj-  
cary: wspaniałe widoki, słońce po dolinach  
długo, słońce, płomy, słońce, wspan-  
iałe, słońce, słońce, słońce, słońce, słońce  
słońce, słońce, słońce, słońce, słońce, słońce  
słońce, słońce, słońce, słońce, słońce, słońce  
słońce, słońce, słońce, słońce, słońce, słońce  
słońce, słońce, słońce, słońce, słońce, słońce

by the author of the book, it is not  
possible to say that the book is  
a masterpiece of the art of writing  
in any language.

The book is written in a style which  
is both simple and elegant. The  
author has succeeded in making his  
subject matter clear and interesting  
to a wide range of readers.

The book is a valuable contribution  
to the study of the history of the  
people of the region. It is written  
in a style which is both simple  
and elegant. The author has  
succeeded in making his subject  
matter clear and interesting to  
a wide range of readers.

The book is a valuable contribution  
to the study of the history of the  
people of the region. It is written  
in a style which is both simple  
and elegant. The author has  
succeeded in making his subject  
matter clear and interesting to  
a wide range of readers.

## Z A K O N N I K.

---

Zachód słońca wszędzie świętny i wspa-  
niały, osobliwsze sprawia wrażenie w Szwaj-  
caryi; promienie jego oświecając po dolinach  
drobne ziółeczka, ptaszyny, owady, wska-  
zują nam dobroć, opatrność Boga który  
to wszystko stworzył, i dobrotliwie utrzy-  
muje; lecz tu, wśród gór których wierz-  
chołki śniegiem pokryte zdają się sięgać o-  
błoków, w pośród lodów co przez tyle wie-

ków niestopniały, zachodzące słońce powłó-  
cząc wszystko różową barwą, przemawia  
silnie do naszej duszy, jak wielkim jak  
potężnym jest ten Pan, przed którym ta-  
kie ogromy są tylko pyłkiem zaledwie doj-  
rzanym. Ładne choć skromne domeczki po-  
rozrzucane w dolinach lub po dostępniej-  
szych ścianach gór, liczne trzody pasące  
się na wysokościach, rozciągly odgłos al-  
pejskiego rogu, na którym szwajcarscy pa-  
sterze czas sobie skracają, lub wesoły śpiew  
młodej krótko ubranej góralki, nadają  
szczytnym tym widokom życie i wdzięk  
nie wypowiedziany, osobliwie dla tych co  
na płaszczyznach żyć przywykli.

W tym to rozkosznym kraju, przy zacho-  
dzie słońca, młody pasterz w milczeniu  
schodził ze wzgórza, pędząc przed sobą li-  
czną trzodę krów, na które w dolinie przed  
obszerną wystawą oczekiwały już dwie ko-  
biety. Młodzieniec przyprowadziwszy trzo-  
dę do obory, pozdrowił uśmiechem dwie  
gospodynie, i podczas gdy one wyciskały

białe tłuste mleko w czyste naczynia, gdy je ustawiały w mleczarni, postąpił jeszcze kilkanaście kroków, siadł przed małym białym domkiem na darniowej ławeczce, i wsparłszy się na rękę, poglądał zadumany na szczyty Alp zarumienionych ostatniem dnia światłem.

Jedna z kobiet zajętych dojeniem krów, skończywszy swoje zatrudnienie zbliżyła się z cicha do pasterza; była to świeża czternastoletnia dziewczynka, w krótkiej spódniczce, opiętym gorseciku i białym jak śnieg fartuszk; na czarnych włosach zarzucony był duży słomiany kapelusz, ale rumiane i ogorzałe lica Szwajcarki przekonywały, że się nim nie zawsze starannie zasłania. Usiadłszy przy młodzieńcu i widząc że na jej obecność nie uważa, rzekła łagodnie:

— O czém ty znowu myślisz Wilhelmie?

— O niczém dobra Betty!... tak; patrzyłem na te wysokie góry przed nami....

— Ty zawsze patrzysz na nie. Ale powiedz mi, czemu ich teraz jak dawniej nie lubisz?... pamiętam, jeszcze przed dwoma laty jak śmiało wdzierałeś się na niedostępne szczyty, jak zręcznie oprowadzałeś podróżnych po niebezpiecznych zaspach i lodach, jak za giemzami wspinałeś się tam, gdzie żaden z doświadczonych łowców nie doszedł jeszcze, a teraz....

— Teraz, powtórzył Wilhelm z smutnym uśmiechem, pasę spokojną trzodę twojego ojca, gram na fletni, pomagam wam w wyrabianiu i przedawaniu sera; alboż mało Szwajcarów takie życie pędzi?... alboż wszyscy są strzelcami?...

— To prawda, ale... nie uwierzysz jak mnie to boli kiedy cię młodzi nasi sąsiedzi nieśmiałym i lęklwym nazywają; kiedy zszedłszy się razem, opowiadają ile każdy ubił giemz i kozłów, o ile wyżej nad innych wdarł się na lodowe góry, a ty milczysz, i nic podobnego o sobie powiedzieć nie możesz!....



— Dobra! kochana Betty!... nie smuć się moją zmianą, nie pochodzi ona z tchórzostwa; może żaden z tych co się w święta przechwalają nie był tak blisko obłoków jak ja, żaden może w kolcami podkutych butach nie śmiałby się tam wdrzeć gdzie ja bosą wstępuję nogą, lecz niechełpię się z tego, bo nie po zdobycz wdzieram się tak wysoko; tylko, kiedy już stanę o tyle wyżej nad ludzi, kiedy się o tyle do nieba przybliżę, wtedy mi lżej na sercu, w tedy dopiero szczerze, gorąco modlić się mogę.

Betty z podziwieniem patrzyła w smętną twarz mówiącego, wielbiła zapal co się na niej odbijał, lecz z jej spojrzeń znać było iż wolałaby aby nietylko dla modlitwy chodził na niebotyczne góry, aby choć czasem dziką kozę przyniósł do chaty. Wilhelm łatwo zrozumiał co się snuło po głowie młodej dziewczyny i rzekł:

— Milej by ci było Betty, gdybym zamiast pasterskiego kija dwururną strzelbę

zarzucił na ramię?... ale to próżno, wyrzekłem się łowiectwa.... bo... kto raz tak jak ja wystrzelił, ten nigdy broni do ręki wziąć nie powinien!...

Wymówiwszy te słowa młody pasterz zakrył sobie twarz rękami i mocne drżenie przejęło wszystkie jego członki; Betty zdumiona patrzyła nań w milczeniu nie śmiejąc żądać wyjaśnienia zawiłej mowy, lecz Wilhelm podniósł wkrótce głowę, wstrząsnął w tył jasne włosy, i biorąc dziewczę za rękę rzekł tkliwie:

— Posłuchaj Betty! tobie jednej opowiem o czém nikt nie wie jeszcze, z tobą podzielę tajemnicę co od dwóch lat jak Alpa ciąży mi na sercu... Sama wspomniałaś, jak dawniej ochoczo biegałem po górach; pamiętasz jak mnie ani topniejące lody, ani spadające śniegi nie mogły wstrzymać od wycieczek na giemy i daniele, ile ich choć tak młody do domu przyniosłem. Raz, było to na wiosnę, wyszedłem z ojcem na

polowanie; wdzieraliśmy się wsparci na ogromnych okutych kijach tam, gdzie jak się nam zdawało musiało być łożysko giemz lub innéj jakieéj zwierzyny; śnieg zaczynał już topnieć, ojcu trudniéj było piąć się do góry, koleczate jego obuwie zagrężało co chwila; ja zaś lżejszy, zwinniejszy, biegłem po śliskim lodzie jak po udeptanéj ścieszcze, i stanąwszy na szczycie wyniosléj góry, zobaczyłem cel naszych poszukiwań; naprzeciw mnie, na wierzchołku drugiéj góry, kilkoro dzikich kozłat płaślało około matki; patrzyłem na nie przez chwilę, bawiły mnie ich skoki z jednego urwiska na drugie, i spokojność z jaką na mnie poglądały; biedne istoty nie znały grożącego im niebezpieczeństwa, widząc mię o kilkadziesiąt kroków i okropną od nich przedzieloną przepaścią, nie domyślały się zapewne, że ludzie i zdaleka śmierć posyłać mogą. Dość długo patrzyłem na ich i graszki i na wszystko co mię otaczało, słońce zachodziło właśnie, Alpy jak teraz pło-

nęły, dzwonekó w ani fletni nie sły szałem na takiej wysokości, lecz widziałem dym wznoszący się z chatek co u stóp gór leżały, znałem ich mieszkańców, myślałem o nich sam nie wiedząc jak okropny los im gotuję... Rzuciłem okiem na przeciwległą górę, młode kozłeta w płasach zbiegały na drugą jej stronę, bezpieczne od mego strzału i pogoni; tylko ich matka stała jeszcze na stromym szczycie, lecz i ta jednym skokiem mogła mi zniknąć z oczu, a kilka godzin męczącej drogi nie przyniosłyby mi żadnej korzyści; zdjąłem więc strzelbę z ramienia, wymierzyłem; huk wystrzału rozległ się po górach a dzika koza runęła w przepaść co mię od niej dzieliła! Nigdy jeszcze z tak małej odległości nie widziałem śmierci mych ofiar, teraz dopiero przypatrzyłem się okropnemu choć tak krótkiemu drgnieniu co zgon zwierzęcia poprzedziło, a oko jego tak smutnie na mnie spoczęło, że gdybym miał żyć sto lat nie zapomnę tego spójżenia....

— Smutny to musiał być widok Wilhelmie; jednak nie pojmuję jak mógł zrazić cię zupełnie od polowania.

— Nie to mię też zraziło; ale za ledwie koza spadła z góry, drugi huk mocniejszy daleko od mego wystrzału rozległ się do koła; z miejsca gdzie przed chwilą stała moja ofiara, podniósł się drobny śnieżny pyłek, ogromny odłam zlodowaciałego śniegu odłączył się od szczytu góry, i zabierając za sobą drobniejsze bryły które spotykał po drodze, w okropnej, przerażającej massie leciał w dolinę, na te same chaty o których mieszkańcach myślałem przed chwilą, ty pamiętasz Betty?....

— Oh! pamiętam okropną lawinę z zaprzęskiego roku; całą wioskę zasypała, a nawet jeżeli się nie mylę, kilka osób zginęło pod śniegiem.

— Nie mylisz się Betty, cztery osoby zginęły... z mojej ręki!....

— Jako? zawołała przerażona Betty.

Wilhelm wziął za rękę dziewczynę, i wlepiwszy w nią łzami zaszłe oczy rzekł z westchnieniem:

— Tak; ja jestem ich zabójcą! prawda że lawiny często się same z gór spuszczaają, lecz częściej jeszcze spadają z gwałtownej jakiej przyczyny, najwięcej zaś z mocnego wstrząśnienia powietrza, od grzmotu, piorunu, lub wystrzału; taka lawina daleko jest niebezpieczniejsza, bo nagła i nieprzewidziana; taką ja moim nieszczęsnym wystrzałem na spokojną Berthalu wioseczkę straciłem...”

Młody pasterz podniósł w niebo pokorne i błagające spojrzenie, po chwili zwrócił je na płonące w dali Alpy i mówił dalej:

— Kiedym ujrzał tę ogromną bryłę toczącą się z nadzwyczajną szybkością, skoczyłem z miejsca gdzie stałem dotąd, i bez tchu, bez uwagi skakałem z urwiska na urwisko, chcąc czémprędzej zbiedz w dolinę i uprzędzić o okropnej klęsce, lecz kie-

dym do pierwszej przybył chaty, już wiadano o spadnieniu lawiny, już wszyscy z hakami, motykami, i łopatami biegli na pomoc zasypanym mieszkańcom Berthalu. I ja poszedłem, pracowałem z zapalem; wszyscy dziwili się mojej gorliwości, bo nikt nie wiedział że ja byłem sprawcą całego nieszczęścia, że za każdą piędzią odwałonego śniegu ubywało mi z serca ciężaru... przez trzy dni i dwie nocy przeszło sto osób pracowało bez przerwy; odkopaliśmy ośm domów, w każdym zastaliśmy mieszkańców przy życiu, choć słabych, wycieńczonych głodem, obawą i brakiem pożywienia. Wszędzie witano nas z radością, obsypywano błogosławieństwem, i każdy zaledwie sam od śmierci uszedłszy, brał się do zbawczych narzędzi, pomagając odkopywać sąsiadów. Kiedy się wszyscy w środku wsi zebrali, kiedy jedni drugim przyjazne podawali dłonie, chciałem już paść na kolana i dziękować Bogu że przynajmniej nikt życia nie stracił; lecz w tej

chwili wymówiono imię *Berty*, powtórzono je kilkakrotnie lecz napróżno,... może pamiętasz *Bertę*?... żonę Fryderyka, najśmielszego z Alpejskich strzelców... mąż jej właśnie przed kilkoma tygodniami zginął był w przepaściach, a ona z trójgiem małych dzieci mieszkała na samym końcu *Berthalu*. Późno dopiero spostrzeżono jej nieobecność; nic dziwnego, była wdową, jej dzieci sieroty! Sąsiedzi pragnąc nagrodzić swoje zapomnienie, z podwójną gorliwością wzięli się do pracy, kopaliśmy jeszcze przez dzień cały, nad wieczorem ujrzeliśmy drzwi pożądanej chaty; otwieramy, wołamy *Berty*, nikt nie odpowiada!... ciemno było w izbie, przejęty trwogą krzeszę ogień, wpadam ze światłem do chaty, patrzę do koła, wypuszczam z rąk świecę i padam prawie nieżywy... Długo mówiono o tkliwości i gorliwości którą w tym dniu okazałem, ale wystaw sobie *Betty*, przy łóżku gdzie leżało dwoje starszych dzieci *Berta* klęczała przyciskając do pier-



si niemowlę, już jak i ona nieżywe!... chleb i naczynie z mlekiem stało jeszcze na ziemi, nie zginęli więc z głodu lecz z braku powietrza;... na drzwiach i oknie znać było uderzenia siekiery i łopaty, nieszczęśliwa matka chciała widać w rozpaczę odbić wejście do tego grobu, gdzie ją wraz z dziećmi zamknąłem; ja, com je nie raz pieścił, com tak często zasiadał przy gościnnym stole strzelca!... Wyniesiono wszystkich na świeże powietrze, cucono, trzeźwiono, lecz nadaremno; na trzeci dzień złożono ich zwłoki na cmentarzu, a odtąd znikła moja spokojność i wesołość. W każdej chwili, o każdej porze, te cztery ofiary stawały mi w oczach, i dręczyła mię myśl, że kiedyś Bóg się na mnie pomści ich śmierci... Rok ledwie minął, a mój ojciec, matka i siostra opuścili ziemię; zniósłem te straty z pokorą, bo widziałem że mnie Najwyższy tym sposobem chciał ukarać; ale teraz Betty, teraz drzę co dzień mocniej, bo miara sprawiedliwości nie jest jeszcze zupełną; czté-

ry osoby zginęły z mojej przyczyny, Bóg trzy ich tylko z mojej rodziny powołał do siebie, jeszcze więc jednej nie dostaje.... moja śmierć nie była by dla mnie karą, to też... lękam się co raz mocniej abym jeszcze z was kogo nie stracił. Melktal twój ojciec tak dla mnie dobry! twoja matka nie jak siostrzeńca lecz jak syna mię kocha, a ty Betty, ty moja droga ukochana siostro!... gdybyś ty za moją winę przypłacić miała!...”

Wilhelm załamał ręce w rozpacz; wzruszona Betty chciała go pocieszać, przekładała że smutny ten wypadek nie z jego winy, może nawet nie z jego przyczyny pochodził; mówiła mu o dobroci Boga która przecież o tyle jest większą od jego sprawiedliwości, lecz daremno; młody pasterz potrząsał tylko głową, od dwóch lat bowiem napoił się myślą że był rzeczywiście zabójcą, a ciągły smutek i samotność jeszcze mu ją mocniej wbiły w umysł; kiedy więc Betty wyczerpawszy słowa pociechy umilkła, ścisnął jej rękę i powstając rzekł:

— Dziękuję ci sestro! ale mnie nie przekonasz; bo ja wiem, czuję, że na zadosyć uczynienie najwyższej sprawiedliwości, jeszcze jednego życia potrzeba. Dałby Bóg aby moje przyjętém zostało!

W rok po tój rozmowie zamknięto drzwi i okna w białym domku *Melktala*, oddano klucz sąsiadowi, powierzono drugiemu liczną trzodę, a gospodarz wraz z żoną córką i Wilhelmem wybrał się w podróż daleką. Po drugiej stronie znanėj w całej Szwajcaryi góry Świętego Bernarda, mieszkał ojciec *Anny* żony *Melktala*, a dziad *Wilhelma* i *Betty*. Trzech synów i ich młode rodziny otaczały starca, lecz schyłony laty, czuł że mu już nie wiele dni na ziemi zostawało, i pragnął przed śmiercią jeszcze pobłogosławić swą córkę i jej dziecię, pragnął uścisnąć swego wnuka *Wilhelma*, bo

oddawna słyshał o wczesnej jego odwadze i tkliwości.

Zaledwie ta wiadomość doszła do domu *Melktala*, opuścił wszystko i ruszył w drogę; nigdzie może w tych czasach dzieci nie czczą, nie szanują tyle rodziców ile w Szwajcaryi. Mieszkańcy jej zasłonieni górami i oddzieleni niejako od reszty świata, nie przyjęli ani jego błędów ani oświaty, żyją spokojnie, cnotliwie, jak ich przodkowie żyli przed kilku wiekami, umieszczeni w pośrodku największych dziwów natury, wielbią ich Twórcę, i wykonywają ściśle Jego przykazania.

Pora w której rodzina *Melktala* opuściła domowe progi, nie bardzo była stosowną do podróży, bo lubo wiosna ożywiła już doliny i pomniejsze wzgórza, na wyższych górach dęły jeszcze silne wiatry i zmiatały świeżo spadłe śniegi; lecz Anna nie chciała tracić ani chwili byle dogodzić życzeniu starego ojca i popędowi własnego serca, a mąż jej czuł że słusznie było, aby przynajmniej ostatnie chwile star-

ca umilił widok tój, która przez lat kilkanaście szczęście w jego domu rozlewała.

Przez kilka dni podróż odbywała się pomyślnie; wędrowców lubo nieznanych w każdej osadzie mile witano, gdziekolwiek zatrzymali się dla wytchnienia, częstowano ich chlebem i nabiałem, obsypywano życzeniami szczęśliwej drogi; lecz gdy doszli do stóp góry S. Bernarda, mieszkania co raz były rzadsze, powietrze ostrzejsze, trzeba było opatrywać się w żywność i często pytać o drogę. Osmego dnia podróży, przenocowawszy w szopie umyślnie dla wędrowców wystawionej, i wypytawszy dokładnie w którą stronę zwracać się należało, rodzina Melktała opuściła wesoło gościnne schronienie, bo następną noc spodziewała się przepędzić już po drugiej stronie tój przykrój niebezpiecznej góry, a z tamtąd schodząc w dolinę nie należało się już obawiać ani głodu, ani zbłądzenia, ani zasp śniegowych, tak groźnych na samym szczycie.

Postępując nieprzerwanie w wskazanym sobie kierunku, wędrowcy nasi tęsknym wzrokiem upatrywali znaków co im dalszą drogę oznaczać miały; nie widząc ich około południa, wnieśli że się obłąkać musieli, a miejsce tęsknoty zajęła obawa.

Położenie ich nie było też przyjemnym; sami wśród ogromnej śniegiem pokrytej przestrzeni, utrudzeni długą podróżą, bez żywności, bo się ją spodziewali znaleźć w stojącej wśród drogi gospodzie, przejęci mroźnym wiatrem, i przypruszeni gęstym choć drobnym śniegiem. Nie udzielali sobie jednak smutnych domysłów, szli co raz dalej w milczeniu, tylko czasami Anna ścisnęła rękę Melktała, poglądając na Betty, która najslabsza z całego grona otulała się coraz mocniej w obszerny płaszcz góralski, coraz więcej wspierała się na ramieniu Wilhelma.

Ciężkie białe chmury zasłaniały coraz bardziej blado przyświecające słońce, zwolna szarą barwą zaczęły powłóczyć lśniącą

dotąd białosc drogi, wicher groźnie świszczał do koła, podnosząc ogromne tumany śniegu zasypywał oczy podróżnych, i pomiał nimi na wszystkie strony. Chcąc się oprzeć jego gwałtowności cała rodzina ujęła się za ręce, i w głębokim milczeniu postępowali jeszcze czas jakiś, lecz grunt coraz miększym i niepewniejszym się stawał, nogi ich grzęły w świeżo spadłym śniegu, a w końcu Betty puściwszy rękę matki przerwała grobową prawie ciszę temi słowy.

— Nie mogę iść dalej!

Przerażenie jej towarzyszy doszło do najwyższego stopnia; *Melktal* chciał wiaść córkę na ręce, lecz i jego siły osłabły, i z jego ust wyszły okropne wyrazy;

— Trzeba nam spocząć na chwilę.

— Spocząć! krzyknął *Wilhelm*, spocząć!.. wszakże spoczynek w tém miejscu jest widoczną zgubą! jeżeli nie utrzymamy się w ciągłym ruchu, zaśniemy... ale snem śmierci; oh! przez litość, jeszcze kilka, kilkana-

ście kroków, przynajmniej do tego wzgórka, może ztamtąd dójrzymy jakiego znaku!...

— *Melktal* i *Anna* postąpili kilka kroków, ale *Betty* słabym głosem powtórzyła *nie mogę*; zatrzymali się jej rodzice, *Wilhelm* zaś w milczeniu uchwycił siostrę na rękę, i z podwojoną szybkością zaczął biedz pod górę gdzie się jeszcze ostatniego środka ocalenia spodziewał; lecz przekonał się wkrótce, że ten wzgórek był tylko świeżą zaspą śniegową, bo co raz głębiej zagrzezał, na każdy krok nadzwyczajnego potrzebował wysilenia; mimo to postępował bez wytchnienia, wiedział bowiem że jego przykład zagrzewał idących za nim wędrowców; nagle stanął... głowa *Betty* silniej się wsparła na jego ramieniu... spójrzył na twarz dziewczyny, blada jak śnieg co jej odzież pokrywał, spała... tym snem co będąc skutkiem zimna i strudzenia na krótką tylko chwilę sen wieczny poprzedza. Spójrzył za siebie; wysilona *Anna* padła na ko-



lana, mąż chciał ją podnieść i wesprzeć na chwilę, lecz zgięły się drżące kolana pasterza, a głowa śmiertelną powleczonea blanością spoczęła na zimném posłaniu.

Wilhelm w milczeniu złożył uszioną Betty obok rodziców i załamał ręce z rozpaczą.

Obraz Berty i jej dzieci stanął mu znowu w pamięci, i mocniej jeszcze niż kiedy ogarnęła go myśl, że Bóg tym sposobem karze mimowolne jego przewinienie.

— Ale... wszak już tylko jednej brakuje ofiary... a ich tu troje! Boże! Boże ulituj się nademną! weź to nieszczęsne życie co mi tak cięży oddawna!

Ukląkł, lecz nie mógł modlić się dłużej, widok Betty i jej rodziców odwracał myśl jego od nieba; zamiast w górę błagalne zwracać spójrzzenia, tarzał w śniegu rozpaloną głowę, załamywał ręce, lub szarpał niemi zaspę co wkrótce i jego grobem stać się miała. Lecz wnet nadzieja błysnęła mu w oczach, pod ręką uczuł coś twardego;... w tak rozpaczném położeniu najdrobniejszy

wypadek ważną jest epoką; Wilhelm namiętnie użył wszystkie siły, odkopał śnieg w około nieznanego przedmiotu, i przy coraz mniejszém dnia świetle ujrzał znak zbawienia. Teraz dopiero z duszy podziękował Bogu, ten krzyż należał zapewne do słupa których mnóstwo stoi na górze S. Bernarda; do każdego z nich przywiązany jest dzwon, którego odgłos rozlegając się w powietrzu, uwiadamia zakonników mieszkających na szczycie góry, że zbłąkany podróżny potrzebuje ich pomocy.

Wilhelm od dawna wiedział o tém; wziął się więc z zapalem do pracy, gołemi rękami odrzucał śnieg pokrywający narzędzie ocalenia, nie zważał że krew broczyła jego dzieło, kopał bez spoczynku, aż póki dzwon otrząśniony z przywalającej go powłoki nie ukazał się oczom młodziana. Uchwycił go z uniesieniem, i poruszył gwałtownie; smutny, przytłumiony dźwięk uderzył echa góry, lecz wnet wszystko ucichło ciemność się zwiększała, siły Wilhelma

niknęły, zadzwonił jeszcze, dłużej, silniej niż poprzednio, i czekał... próżno! do koła głuche panowało milczenie... stracił zupełnie nadzieję, nic już nie widział, nawet zwłok swojej rodziny... jednak ostatnie czyniąc wysilenie raz jeszcze poruszył zbawcze narzędzie; dalekie szczekanie psa odpowiedziało jękowi dzwonu, Wilhelm je usłyszał i bez siły padł na ziemię.

Szczekanie psa zbliżało się szybko do podróżnych, dwa ogromne brytany stanęły wkrótce nad nimi, zaczęły ich dotykać łapami, lizać, szarpać za odzienie, nakoniec zawyły razem i umilkły. Za kilka chwil, dwóch ludzi ciemno ubranych, z latarniami w ręku brnąc po ruchomym śniegu, stanęli na miejscu smutnego spoczynku; jeden z nich poodwiązywał flaszki wiszące na sztychach psów, i podczas gdy zawartym w nich

płynem nacierał wraz z towarzyszem czołasnem uiętych podróźnych, brytany na dany znak pobiegły czekając w góry, i przed nim rodzina Melktała wróciła do przytomności, przyprowadziły orszak zakonników z noszami i latarniami. Ocalonych wędrowców niebawem przeniesiono do klasztoru, czekał ich tam już dobry ogień, wygodne łóżka, i najtkliwsze starania. Jednakże, długi czas upłynął nim odzyskali zmysły; Wilhelm najpierwszy wrócił do życia; spójrzał w koło siebie, starzec z białą brodą klęczał opatrując skaleczone ręce młodzieńca, twarz jego łagodną i poważną ciemny kaptur ocieniał, długa fałdzista suknia pokrywała wyniosłą postawę; po obszernej sali snuło się więcej podobnych postaci, lekko, cicho, więcej do duchów niż do ludzi zbliżonych. Młody pasterz z trudnością zbierając zmysły przypomniał sobie nieszczęśliwą podróź, i myśl co go jeszcze przed zemdleniem zajmowała; porwał się z łoża, dzikim wzrokiem powiódł po sali,

ale wnet łzy wdzięczności i rozczulenia skropiły wybladłe jego lica, bo na przeciw ogniska w szerokim krześle siedziała wracająca do przytomności Anna, a Betty i Melktal nacierali jej ręce i skronie.

Jeżeli trudno opisać radość z jaką się cała ta rodzina witała przyszedłszy do sił; trudniej daleko wyobrazić sobie tkliwą gorliwość zakonników, poświęcających całe życie wykonywaniu trudnych i niebezpiecznych powinności.

Zakonnicy ci są reguły Świętego Franciszka, zaprzysięgają oni wyrzeczenie się świata, ubóstwo, wstrzemięźliwość, a jednak w klasztorze na szczycie Świętego Bernarda nie zbywa na niczem, co tylko użytecznem a nawet przyjemnem być może tym, których zakonnicy pod swym gościnnym dachem przyjmują; podczas gdy podróżny wybawiony od śmierci zasiada przy stole smaczniemi potrawami i posilnem winem zastawionym, wybawcy jego krzepią swe siły grubym chlebem i wodą; zale-

dwie jedną warstwę śniegu otrząsną z odzieży, już na powtórny odgłos dalekiego dzwonu wybiegają ochoczo wśród wichru i zawiei, za jedyne go przewodnika mając psa wierne go, mocny kosztur za jedyną podporę; przebywają najniebezpieczniejsze drogi, brną po topniejącym śniegu, spuszcza ją się śmiało w przepaści byle uchronić od śmierci niebacznego podróżnika, lub przynajmniej jego ciało z pod śniegowej zasy wydobądź, aby je kiedyś krewni lub znajomi poznali (\*). Nie należy jednakże mniemać żeby ich do tak utrudzającego życia klasztorne przepisy obowiązywały; bynajmniej, są to sami ochotnicy. Właściwy ich klasztor leży w dolinie, o trzy mile od szczytu Świętego Bernarda, tylko ci zakonnicy którzy

---

(\*) Przy Klasztorze na górze Świętego Bernarda zamiast cmentarza jest sklep suchy, otwarty, wystawiony na działanie ostrego powietrza, gdzie ciała zmarłych utrzymują się przez kilka a nawet kilkanaście lat tak, że nawet rysy rozpoznać można.

z własnej chęci poświęcają się na ratunek wędrowców, mieszkają w górnym klasztorze, i to przez wzgląd na trudy i ostrość powietrza, mają pozwolenie po trzech latach wrócić w dolinę; lecz nie było jeszcze przykładu aby który z tych bohaterów chrześcijaństwa opuszczał pole pracy i niewygód; chyba gdy skołatany wiekiem nie może już bydź użytecznym, zstępuje do klasztornej celi, aby nie zabierać miejsca silniejszemu od siebie bratu.

Rodzina Melktała przez cały tydzień pozostała w klasztorze, gdyż topniejące śniegi nie dozwalały puszczać się w dalszą drogę; co dzień więcej wielbili niezmordowaną czynność i gorliwość zakonników, Wilhelm czcił ich jak nadziemskie jakie istoty, a do owego starca z siwą brodą którego najprzód ujrzał w gościnniej sali, przywiązał się całą mocą duszy. Tkliwość i zaufanie z jakim zakonnik mówił o dobroci i łaskowości Boga, złagodziły cierpienie młodego pasterza, zaczął wierzyć: że

ten który największym zbrodniarzom przebacza, nie ściagałby swą zemstą mimowolnego winowajcy, nie liczyłby ofiary za ofiarę. Nie śmiał wszelako oddawać się zupełnie tej pocieszającej myśli, chciał aby go Boski sługa utwierdził w niej niejako, i pewnego ranka kiedy wszyscy bracia zajęci byli usługiwaniem licznie zebranym podróźnym, poszedł do kaplicy w której jak wiedział, stary Anzelm zwykł się być modlić, i z skruchą, z zaufaniem, opowiedział mu całą swoją młodość, i przekonanie że Bóg jeszcze jednego życia pragnie z jego rodziny.

Czcigodny kapłan zgromił młodzieńca za śmiałość z jaką sprawiedliwości najwyższego sędziego śmiał naznaczać granice, przekonał go licznymi przykładami o ile dobroć Boga większą jest od wszelkich nieprawości ludzkich, i zakończył temi słowy:

— Bydź może że za to mimowolne zabójstwo Stwórcy nasz żąda ofiary z twoje-



go życia; ale myśliszże młodzieńcze: że tylko umierając możesz zadosyć uczynić niezbadanym wyrokom? od dwóch lat powtarzasz, że życie swoje chętnie Mu poświęcisz, a cóżes czynił przez cały ten czas? bluźniłeś, wyrzekałeś, obrażałeś Tego, któregoś niby przebłagać pragnął. Jeżeli w rzeczy samej czujesz się winnym, czemuś się starał zagładzić tę winę?... cóżes użytecznego wyświadczył temu społeczeństwu, które jak utrzymujesz z twojej ręki czterech członków straciło?... Wierz mi młodzieńcze: nie ten który nic więcej nie czyniąc bije się w piersi z rozpaczą, zyska odpuszczenie grzechów, bo wszakże sam boski nasz Nauczyciel powiedział:—Nie każdy kto mówi Panie! Panie! wnijdzie do Królestwa Niebieskiego.“

Wilhelm uczuł prawdę tych wyrazów, smutek i rozpacz ustąpiły z jego serca, a mocne postanowienie poświęcenia się czynnie dobru ludzkości zajęło go całego. Nie mówił nic nikomu, pożegnał z uśmiechem

dobrych zakonników, i spokojny, wesoły prawie, zeszedł z Melktalem i jego rodziną do domu wyglądającego ich dziada.

Starzec ten, prawdziwy Patryarcha zdawał się tylko czekać ich przybycia, zaledwie bowiem uściskał swoje dzieci, zaślął mocniej, i przepowiedział: że następnego dnia nie przeżyje. Tego samego wieczora Wilhelm czuwając przy łożu umierającego, długo z nim rozmawiał, a nazajutrz równo z świtem starzec posłał jednego z synów do klasztoru leżącego blisko jego mieszkania z prośbą, aby który z zakonników przyszedł go opatrzyć na drogę wieczności.

Dopełniwszy ostatniego obowiązku chrześcijanina, dziad Wilhelma przedstawił młodzieńca bożemu słudze, jako pragnącego wejść w grono zakonników Świętego Bernarda, pobłogosławił go tkliwiej jeszcze niż reszte rodziny, i skonał.

Zamiar Wilhelma lubo zadziwił wszystkich jego krewnych, nie doznał żadnego oporu; Szwajcarowie nazbyt szanują zakon-

ników Świętego Bernarda aby komu z swojej rodziny bronić mieli połączenia się z nimi; lecz młodzieniec z innej strony doznał trudności; miał dopiero lat siedmnaście a ślubów zakonnych od nikogo przed dwudziestym rokiem życia nie przyjmują; zostawały mu więc jeszcze trzy długie lata do przeżycia w nieczynności na swoich górach, lub na modlitwie w dolnym klasztorze. Ani jedno ani drugie nie zgadzało się z gorącą jego żądzą służenia ludzkości, obrał więc inną drogę aby dojść do swego celu: przez lato pilnował trzody Melktala i pomagał mu w gospodarstwie, bo chciał się odwdziaczyć za tkliwe przyjęcie jakiego w jego domu doznał po śmierci rodziców; lecz zaledwie wiatr jesienny świsnął po górach, Wilhelm biegł do klasztoru na górę Świętego Bernarda: jako pomocnik zakonników dzielił z nimi trudy i niebezpieczeństwa; nie zrażał się przykrościami, a mimo to wszystko, serce jego coraz spokojniejszym, oblicze weselszym

się stawało. Kiedy po rozpuszczeniu śniegów na górze, wracał w zagrodę dobrych swych krewnych, nie był to już ów blady smutny pastuszek z zgryzotą w duszy, z nieśmiałym spojrzaniem, lecz człowiek poważny, z wesołą twarzą, spokojnym sumieniem, bo co wiosna kilku bliźnim ocalił życie z narażeniem własnego.

Tym sposobem owe trzy lata ubiegły, Wilhelm po roku próby wykonał zakonną przysięgę i przybrał imię brata Anzelma, bo starzec który je nosił na górze Świętego Bernarda osłabiony wiekiem i pracą zstąpił w dolinę i młodemu swemu przyjacielowi zostawił tak dawno upragnione miejsce.

Wiele już czasu odtąd ubiegło. (tak stary wędrowiec swą powieść zakończył). Będąc w Szwajcaryi widziałem brata Anzelma; na czerstwej jego twarzy już wtedy wiek i trudy głębokie zmarszczki poorały, lecz jeszcze był silny i krzepki, jeszcze na odgłos dzwonu wśród drogi najpierw-

szy z klasztoru wybiegał; nie dręczył go już obraz Berty i jej dzieci, bo przeszło czterdziestu podróżnych winno mu być swoje ocalenie.

Bogdajby każdy tak hojnie umyślne przestępstwa, jak on mimowolne nagradzał przewinienie!





## S A B A U D K A.

---

**S**abaudya jest prawie najuboższym krajem Europy; nie kwitnie tam handel jak w Niemczech, nie ma fabryk, skąpe pastwiska nie pozwalają jak w Szwajcaryi hodowania trzód licznych; obfite kłosa nie kołyszą się z wiatrem jak po naszych niwach, zewsząd widać nagie wzgórza, lub wyższe śniegiem pokryte góry; tylko gdzieś niegdzie, na szczupłym, z ogromną pracą

wyoranym zagonie, wschodzi garstka lichego jęczmienia, lub kilkanaście główek kapusty.

Mieszkańcy tego kraju, żyjąc w ciągłym ubóstwie, nawet w niedostatku, zachowali wszelako czyste i cnotliwe obyczaje. Pobożni, rzetelni, pracowici, wspierają się wzajemnie, ochoczo przyjmują podróżnego zwiedzającego ich góry, i nieraz po całodzienniej pracy i lichej wieczerzy, tańczą wesoło przed chatą, jakby nigdy trosk nie znali.

Pomimo najszczerzej chęci najmniejszy zarobek z wielką trudnością Sabaudczykowi przychodzi; po wsiach każdy dość ma czasu do obrobienia swego gruntu, nie potrzebuje więc najemników. Miast nie wiele jest w Sabaudyi, i te małe, liche, w wielkiej od siebie odległości; przepelnione robotnikami. Całą więc korzyścią ubogiego ludu jest oprowadzanie podróżnych, ciekawych poznać ten zakątek ziemi, lecz i takich nie wielu się zdarza, bo nie tyle jest pięknych widoków w Sabaudyi, ile trudów w jej przebyciu.



Jeżeli Bóg liczną rodziną Sabaudczyka obdarzy, naprózno by się starał o utrzymanie dobrego bytu w swój chacie; za ubóstwem wejdzie w nią niedostatek, a za tym i nędza w najsmutniejszej postaci. Dzieci Sabaudzkie rzadko czekają na jej przybycie; jak tylko brak żywności da się uczuć w domu, młode chłopcy zbierają się ze wsi całej, i gromadą idą aż do Paryża; miasto to wielkie choć odległe, mieszkańcy jego po większej części bogaci, żyją w dostatkach i zbytku, łatwiej tam więc wyżyć się biednemu. Młodzi Sabaudczycy wycierają kominy, czyszczą obuwie przechodzącym po zabłoconych ulicach, wypełniają rozmaite drobne zlecenia, i często kilka groszy zarobią wyskakując na drodze góralskie tańce, lub kręcąc się w młynka przed powozami. Pomni na przywiązanie i przestrogi rodziców, w obcym mieście nie zmieniają obyczajów; rzetelność, poczciwość Sabaudczyków znaną jest w całym Paryżu, patrząc ciągle na przedmioty do zbytku i

przyjemności życia należące, umieją sobie nawet potrzebnych rzeczy odmawiać, byle co dzień parę groszy oszczędzić, i uzbieraną z nich sumkę przesać do domu.

Nie raz się zdarzy że pracą lub szczęśliwym jakim przypadkiem młody Sabaudczyk przyjdzie w Paryżu do dobrego bytu; lecz dostatek nie zdoła w jego pamięci zatrzeć miejsc rodzinnych, tęschni on do nich całe życie, z rozkoszą wraca na te nagie wzgórza, co choć go wyżywić nie mogły, były jednak świadkami dziecinnych jego zabaw, i zawierają chatę lub groby rodziców.

W najuboższej chacie Sabaudzkiej wioseczki, w pierwsze święto Wielkiej nocy zebraną była rodzina Roberta, co się w niej urodził, i prawie całe przepędził życie; ściemniać się zaczynało, nie wielki ogień

tlał w ognisku, tuż przy niém na wielkiem słomą wplecioném krześle siedziała stara Marta, matka Roberta, na przeciw niej na ławie on sam bawił się z dwojgiem swoich dzieci, pięcioletnim Jerzym i o rok od niego starszą Jakóbką; Brygida gospodyni chaty, młoda, hoża jeszcze kobieta, krzątała się po izbie przyrządzając posiłek dla całej rodziny, mający razem obiad i wieszczę stanowić, bo w dniu świątecznym mniej zarobić można, a zatem oszczędniej żywić się należy; najstarsza córka Roberta i Brygidy Różą zwana, pomagała matce, a najmłodsza, trzyletnia Anusia rozciągnięta przy nogach babki na słomianej macie, poglądała ciekawie na wielki garnek stojący przy ogniu, i cieszyła się wychodzącą z niego parą.

Nasz kmiotek nie tak szczupłą i późną ucztą obchodzi Wielkanoc, jednak trudno w najzamożniejszej chacie o świeższe twarze, zwinniejsze postacie, i weselsze serca, jak te co w owej chwili przebywały pod lichą Roberta strzechą.

Skończono wreszcie przygotowania, nakryto stół grubą ale czystą bielizną, postawiono na niej lampę łożową, położono dwa jęczmienne placki, siedm drewnianych łyżek, a podczas kiedy Brygida z dumą i radością stawiała w środku wielką glinianą misę, Robert z Różą zbliżyli się do starej babki, podnieśli ją z krzesła, poprowadzili do stołu. Tuż za nią Jerzy i Jakóbka ponieśli wygodne siedzenie, umieszczono staruszkę na czele stołu, przeciwko ogniska, syn po prawej, synowa po lewej stronie zasiadła, dalej młodsze dzieci, na samym zaś końcu troskliwie się niemi zajmująca Róża.

Choć późno zastawiono obiad, ukontentowanie rozjaśniło twarze biesiadników, bo uczta godną była obchodzonego święta; dziesięć głów żółtej Sabaudzkiej kapusty i tyleż zrazów wędzonej słoniny wydawały miły zachęcający zapach, a kawał sera i kilka dobrze zachowanych jabłek zapowiadały smaczne i niezwyčajne wety.

Z początku posilano się w milczeniu, lecz po zaspokojeniu pierwszego apetytu ożywiła się rozmowa. Robert i Brygida zaczęli matce opowiadać co rano słyszeli wyszedłszy z kościoła, Jakobina z Jerzym wychwalali przed Anusią wyborną swoją zabawę piłkami i lalkami które sobie na drodze ze śniegu porobili, tylko Roza zwykle najweselsza z całej rodziny siedziała zamyślona, i kiedy niekiedy, nieśmiałym, nie pewnym wzrokiem poglądała na babkę i rodziców.

Po wieczerzy, gdy znów wszyscy przed kominem zasiedli, a świeża wiązka chróstu żywszy, szerszy płomień wydała, Róża zbliżyła się do ogniska, stanęła przed rodzicami, i drżącym głosem rzekła:

— Nie prawdaż moja matko, że po modlitwie, Bóg nam dobre myśli zsyła?...

— Najczęściej, moje dziecię; ale zkadże to pytanie?

— Bo... bo dziś po nabożeństwie i kazaniu, myśl szczęśliwa przyszła mi do głowy.

— A jakaż to Rózo?...

— Oto... żeby iść do Paryża.

— Do Paryża! zawołały razem Marta, Brygida i Jakobina.

— Do Paryża! powtórzył Jerzy, ależ to niezmiernie daleko Róziu! Robert tylko uśmiechnął się, przycisnął córkę do serca i rzekł wzruszony:

— Prawda moje dziecię, Bóg ci tę myśl zesłał na naszą pociechę, dowiodłaś raz jeszcze jak dobre masz serce, kiedy dla powiększenia naszej chudoby chcesz dom i rodziców porzucić. Ale Róziu, to tylko myśl; wykonać jej nie można.

— Dla czego mój ojciec?

— Dla wielu przyczyn; najprzód: choć w Paryżu jest mnóstwo Sabaudzkich dzieci, są to prawie same chłopcy, bo mocniejsi, zwinniejsi, łatwiej sobie na życie zarobią; potem, opuszczając rodzinę, wychodzą w znacznej liczbie aby bezpieczniej przebydź tak daleką drogę, wspierać się wzajemnie w razie słabości, i zachęcać

gdyby sił lub ochoty do dłuższej podróży zabrakło. Jakże byś ty sama jedna, nie bardzo jeszcze do trudów i niewygód przywykła, potrafiła przebydź mil tyle, w nieznanym kraju w pośród obcych ludzi, i prawie bez zapasów?...

— Ale mój ojcie!... przerwała Róża.

— Moje dziecię! rzekł łagodnie lecz stanowczo Robert: byłem i ja w Paryżu, i ja w nim trochę grosza zebrałem, ale nie chciałbym żeby które z moich dzieci błąkało się po jego ulicach. Nie Róziu! dopóki w chacie starczy jęczmiennego chleba, dopóki każde z nas będzie miało całe odzienie; na koniec póki ja żyję, zostaniemy razem!

Pocałował córkę, Brygida schwyciła ją za rękę mówiąc:

— Tak Róziu! zostaniemy razem; wszak że ztąd dzieci tylko podczas największej nędzy wychodzą, a nam przecież do niej daleko!

— Daleko?... powtórzyła Róża z smutnym uśmiechem; daleko?... matko! wiem ile jest

jęczmienia na górze, wiem ile główek kapusty... nie stanie tego na długo jeżeli wszyscy zostaniemy w chacie.

Brygida spuściła oczy, lecz po chwili rzekła:

— Prawda, że nasze zapasy nie wielkie, ale przecież wystarczą do nowego żniwa....

— A przynajmniej do początku lata, przerwał Robert; może też wtedy zjawi się kilku podróżnych, oprowadzę ich po najwyższych naszych górach... za to dobrze płacą.

— Ale ojciec każda taka droga męczy cię okropnie, a nawet nie raz na niebezpieczeństwo wystawia; w końcu... jeżeli co zarobisz... patrz!... Jerzy bez obuwia, matka wczoraj ostatni fartuch pozszywała na święto; i babki kaftan prawie zupełnie podarty... czyż na to wszystko nie potrzeba pieniędzy?...

Robert smutnym wzrokiem sprawdzał każde słowo córki, założył ręce, głowa opadła mu na piersi, jednakże rzekł stałym głosem:



— Jakkolwiek bądź Róziu, nie pójdzież do Paryża; ufajmy Bogu, on o każdym stworzeniu ojcowskie ma staranie, on wichry do wełny jagnięcia stosuje, nie zapomni i o nas. Nie... nie pójdziesz! sama... w tej porze!... zginęłabyś w drodze!

— Jabym nie sama poszła mój ojczce, rzekła dziewczynka nie tak już śmiało jak poprzednio.

— A z kimże? zapytali ciekawie rodzice.

— Oh! posłuchajcie mnie tylko cierpliwie!...

»Kiedy dziś na kazaniu pleban tak pięknie mówił: jak każdy nie tylko los swój cierpliwie znosić, lecz o polepszenie go starać się powinien; jak w ubóstwie lub w innych przykrościach trzeba pilnie uważać, czy nam Bóg nie podaje pomocnej ręki; słysząc to, zaczęłam rozważać, czy w samej rzeczy i dla nas nie ma sposobu wydostania się z biedy?... nagle przyszła mi myśl, że ten sposób w mojej własnej jest woli. Jestem najstarsza z dzieci, potrzebuję najwięcej, a w dro-

bnych zatrudnieniach w których wam matko pomagam czasami, Jakóbka mnie nie długo zastąpić będzie mogła; pójdę więc do Paryża... umniejszyć się w domu wychodu... zimowe zapasy wystarczą do przednówka, a wtedy... będę już pewnie miała kilka talarów, to je poszlę rodzicom.

— Nie tak to łatwo lubie dziecię! rzekł Robert z uśmiechem, lecz z tkliwością; z Paryża nie codziennie do Sabaudyi okazyja.

— Słuchajcie dalej mój ojczu! przez resztę nabożeństwa nie modliłam się już tak gorąco jak z początku, myślałam tylko jakim sposobem podróż odbędę, jak będę pracować;... zdawało mi się prawie że już jestem w tém wielkiem i bogatém mieście, gdzie jak słyszałam ludzie tyle srebra i złota mają, że go sami zrachować nie mogą. Skończyły się spiewy, wyszliśmy wszyscy z kościoła, i kiedyście ojczu rozmawiali z Rajmondem, usłyszałam że za mną ktoś mówił o Paryżu;... była to Agata z Soreny która tu co niedzielę do kościoła przycho-

dzi; opowiadała kilku naszym sąsiadkom że w tych dniach odebrała list od syna co jeszcze przed dwunastoma laty wyszedł z Sabaudyi, że mu się bardzo dobrze powodzi, że ma piękny sklep, własny dom, a nie mając jeszcze żony, prosi matki aby przyjechała do Paryża i zajęła się jego gospodarstwem. Agata powiedziała jeszcze ile jej syn przysłał pieniędzy na drogę, dodała że wyjedzie za parę tygodni, i że radaby zabrać z sobą młodą jaką dziewczynkę coby jej pomagała w zatrudnieniach, doglądała w chorobie, a przynajmniej z którąby pomiędzy obcemi ludzmi, mogła o swoich znajomych rozmawiać.... Jak tylko usłyszałam te słowa, uklękłam przed kościołem i podziękowałam Bogu.... bo nie prawdaż matko że to On natchnął mnie z Agatą tak podobnemi myślami?...”

Babka i rodzice Rózi poglądali na siebie w milczeniu; Brygida najpierwsza je przerwała, bo matka nigdy się chętnie z swém dziecięciem nie rozłącza.

— Może sobie Agata już jaką dziewczynkę obrała? rzekła; a potem nie znamy jej tak dobrze aby prosić o zabranie ciebie; jeżeli więc, (o czém wątpię), nie przyjdzie sama po ciebie...

— Pójdziemy do niej.... przerwał Robert.

— Jakto? tak byś rad naszą Rózię z domu wyprowadzić?...

— Nie dla tego żeby sobie ulżyć, kochana Brygido, ale dla jej własnego dobra. Zapewne wolałbym ją przy największej nędzy zatrzymać w chacie, niż wyprowadzić w drogę samą, i pieszo; ale Agata ma pieniądze, podróż wygodnie odprawi, w Paryżu zajedzie do domu syna, i na niczem jej zbywać nie będzie; gdyby więc chciała zabrać Rózię, byłoby to wielkim szczęściem dla niej; mogłaby się wielu rzeczy nauczyć, mogłaby przyjść do majątku; żyć wygodnie, a po naszej śmierci opiekować siostrami i bratem.

Gdy Robert tak mówił, Róża klęcząc całowała ręce jego i matki, która słuchając, w milczeniu smutnie potrząsała głową.

— Pozwól mi iść droga matko! błagało dziewczę ze łzami.

Matka nieodpowiadała na jej prośby, lecz Robert podniósł córkę mówiąc:

— Róziu; trzeba się pierwój rozmówić z Agatą, ale jeżeliby ta podróż miała być korzystną dla ciebie, matka jej się nie przeciwi. Wszak prawda Brygido, matka swoje szczęście chętnie szczęściu dzieci poświęci?

— Prawda! rzekła z westchnieniem Brygida; ale... dodała przyciskając Rózię do piersi; oh! ciężkoby mi było rozstać się z tobą!....

Na tém skończono rozmowę; na znak Marty cała rodzina powstała, wszyscy uklękli na środku izby, odmówili głośno, szczerze wieczorną modlitwę, i udali się na spoczynek. Robert z synem sypiał na górze, w obszerném i jedynem łóżku stojącym w kącie izby, spoczywała Marta z Brygidą, a

w framudze zasłoniętej grubém szarém płótném, na słomie, wełnianą kołdrą odziane, trzy jasnowłose dziewczynki, zasypiały słodkim snem niewinności.

Tęj nocy jednakże nie tak on prędko jak zwykle zawitał pod strzechę Roberta, wszyscy bowiem rozmyślali nad zamiarem Rózi, ona zaś modliła się gorąco, o szczęśliwy jego skutek.

Nazajutrz jako w dzień świąteczny, Agata z Soreny przyszła znowu do parafialnego kościoła; dnia poprzedzającego wypytywała się sąsiadów o najcnotliwszą, najłagodniejszą dziewczynkę, i jednomyślnie wskazano Rózię; sama więc prosiła rodziców dziewczęcia aby jej swoją córkę powierzyli, przyrzekając najczulsze o niej mieć staranie.

Robert i Brygida zezwolili na żądanie starszuszki, a Rózia jeszcze przed obiadem dowiedziała się że za tydzień wyjedzie do Paryża.

Przez cały ten czas niezwyčajny ruch panował w chacie; Ojciec z babką przypominali dziewczynce dawne nauki i przestrogi, matka zajmowała się czynnie wyporządzeniem odzieży dla młodej wędrowniczki, siostry i brat nieopuszczali jej ani na chwilę, dawali zlecenia co im z wielkiego miasta przynieść miała, i zazdrościli prawie że tyle pięknych rzeczy widzieć będzie mogła.

— Dziecię moje! rzekł Robert w dzień wyjazdu: może ci przyjdzie długo bawić w Paryżu;... pamiętaj o naszej chacie; żyj cnotliwie jak tu w górach żyją, aby i po tobie w tém wielkiem mieście dobre imie zostało. Może spotkasz kogo z dawnych moich znajomych, przypomną sobie pewnie że Robert Kolin poczciwym był człowiekiem, mile przyjmą jego córkę, wspomogą cię radą i czynem jeżeli się tego godną okażesz.

— Ach ojczy! odrzekła Rózia: jakżebym chciała spotkać tego pana i panią u których przez dwa lata służyłeś, co ci dali tyle pieniędzy!

— Państwo Beauharnais? o! jego już nie zobaczysz, już on nie żyje!... ale jego wdowę, jego dzieci, osobliwie pana Eugeniuśza... gdybyś tych spotkała kiedy, nie doznałabyś biedy w Paryżu.

— Wszak to ten sam ojciec, coś go od psa rozartego obronił?

— Tak jest; służyłem wtedy u jego rodziców, byłem przy stajniach; nieraz młodego panicza sadzałem na konia i przeprowadzałem w około dziedzińca, on mnie za to głaskał po twarzy i włosach, i dzielił się przysmaczkami. Matka jego była także dobrą panią, i kiedy mi Bóg pozwolił odpędzić ogromnego brytana co się rzucił na panicza, dała mi tyle pieniędzy, żebym za nie mógł połowę naszej wioski zakupić...

Wszystkie dzieci zdziwione spójrzały na Roberta, i Jerzy zapytał:

— A cóżeś ojciec zrobił z niemi?

— Wracałem szczęśliwy do domu, gdy o kilkanaście mil ztąd napadli mnie rabusie, i odebrali wszystko....



— Czy długo byłeś w Paryżu ojcze? spytała zadumana Rózia.

— Dwanaście lat.

— I za tyle czasu, za tyle pracy, nie przyniosłeś do domu?

— Przyniosłem dwadzieścia franków com je zaszył w spencer, nim się jeszcze dostałem w służbę do generała Beauharnais.

— Ależ teraz już nie ma rabusiów po drogach? spytała raz jeszcze Rózia.

— Są i teraz moje dziecię, ale też nie każdego napadają, nie ma się więc czego lękać.

— Oh boby to smutno było opuścić dom, rodziców, przez kilkanaście lat pracować, nie widzieć śniegu na górach, i w końcu zostać obdartym....

Wymówiwszy te słowa, Rózia zamyśliła się głęboko, i zmniejszą już radością wystawiała sobie Paryż, z większą tęsknotą poglądała na zakopciałe belki rodzicielskiej chaty, którą wkrótce opuścić miała.

W przewodnią niedzielę, cała rodzina Roberta, nawet stara Marta poszła do Ko-

ścioła; wszyscy chcieli odprowadzić Rózię, każdy mówił jej o Paryżu, o szczęściu które w nim znajdzie, lecz każdy myślał o smutku i niepokoju co po jej odjeździe w domu zostanie. Ona sama najweselszą się zdawała, ale kiedy już o kilkanaście kroków od chaty odeszła, obejrzała się z westchnieniem; ten dach słomiany, przypruszony śniegiem, to małe, ledwie nad ziemię wzniesione okienko, droższymi jej się zdały w tej chwili, niż owe wielkie i piękne domy wśród których mieszkać miała; ścisnęło się jej serce, łzami zasłyły oczy, i odechciało się podróży; lecz wnet stanęła jej w myśli nędra rodziców, pieniądze które zarobić i przysłać im mogła, otarła więc świeże lica i odważnie weszła do kościoła.

Nie zadługo przybyła Agata wraz z starszkiem który jadąc o mil kilkanaście miał na swój wózek zabrać dwie podróźne. Podeszła niewiasta uklękła obok młodej swojej towarzyszki, obiedwie modliły się gorąco, lecz do pobożności Rózi mieszały się

westchnienia żalu, gdy Agata tylko uczuciem radości przejętą była; zmierzała ona do jedynego celu swego przywiązania, w Sabaudyi zostawiała tylko walącą się chatę w której smutno i samotnie kilkanaście lat przeżyła; ale Róża.... opuszczała wszystko co ją kochało, co miłem jej było, szła w świat obcy, szeroki, nieznan, jakże smutną bydz nie miała?

Po skończonych modłach dwie wędrowniczki przystąpiły do ołtarza, szanowny kapłan wyciągając drżące dłonie nad siwą głową staruszki, i jasnymi włosami dziewczynki, pobłogosławił je jednemi wyrazy, zalecając tkliwie aby o sobie wzajemne miały staranie. Gdy przestał mówić, Robert zbliżył się do klęczącej jeszcze córki, i kładąc rękę na jej ramieniu, wzruszonym rzekł głosem:

— Róziu! w domu Boga, w przytomności Jego sługi, przysiąż mi, że żyć będziesz tak jak On przykazał, jak cię rodzice nauczali.

— Przysięgam! odpowiedziała dziewczynka przytłumionym ale uroczystym tonem.

— Że nie zapomnisz rodziny, że nie ściągniesz wstydu i nagany na imię twego Ojca....

— Nigdy! nigdy! przysięgam ci ojcze zawołało dziewczę ze łkaniem.

— Niech więc Bóg błogosławi twoją drogę i całe życie; przemówił Robert przyciskając córkę do piersi; matka, brat, siostry otoczyły rozczuloną Rózię, sąsiedzi pozostali jeszcze w kościele połączyli się z nimi, łyzy i szczere życzenia żegnały ją ze wszech stron; u drzwi świątyni Pańskiej jeszcze ją kapłan pokropił święconą wodą, jeszcze ją uścisknęli rodzice; dziewczynka splekana z spuszczonej oczyma siadła na lekki wózek obok Agaty, woźnica zaciął konia, i wkrótce kościół, wieś, znana okolica zniknęły z oczu podróżnych.

Bez żadnego przypadku dojechały do miasta gdzie stary ich przewodnik zmierzał; Rózi podobała się podróż, siedziała wygo-

dnie, Agata miała z sobą zapas żywności, któremi co chwila częstowała swoją towarzyszkę, a domy, kościoły, i wzgórza co w przejeździe uciekać się zdawały, hawiły mocno dziewczynkę. Agata przywykła do oszczędności, lubo miała dość pieniędzy chciała podróż jak najmniejszym odbyć kosztem; nie brała więc pocztowych koni, w każdym mieście stawała w taniiej jakiejś gospodzie, i czekała dopóki się sposobność do dalszej drogi nie zdarzy; sposób podróżowania zmieniał się więc często: raz na małym wózku wieśniaka z targu do domu wracającego, to na obszernej towarem naładowanej furze, niekiedy pieszo od wioski do wioski, a coraz nowe widoki, porządniejsze domy, większe i ludniejsze miasta zajmowały dwie nasze podróżne. Przybywszy do Lugdunu (Lyon) zatrzymały się jak zazwyczaj w gospodzie czekając pory odjazdu, lecz Agata od kilku dni czuła się trochę słabą, i umyśliła spocząć przez dni kilka. Nazajutrz po przyjeździe,

do osłabienia przyłączyła się gorączka, później ból głowy, i dobra Agata na trzeci dzień już się z łóżka podnieść nie mogła. Różia nieodstępowała jej na chwilę, lecz w nieznaném miejscu mało dopomódz mogła, prosiła więc gospodyni o radę, a ta lubo się nie spodziewała nagrody, pilnowała chorą troskliwie, dawała jej rozmaite zioła do picia, lecz wszystko' niepomagało; staruszka co raz mocniej słabła, a w końcu przytomność tracić zaczęła.

Czując zapewne że jej śmierć bliska ręką do Rózi w przytomności gospodyni:

— Podobno się za późno w podróż wybrałam; podobno już mojego syna nie zobaczę.... niech się dzieje wola Boga... żal mi tylko żem ciebie moje dziecię, wyprowadziła z domu rodziców, i wśród obcych zostawię.... Jednak będziesz mogła powrócić wygodnie i bezpiecznie.... wszystko co mam przy sobie będzie twojem.... tu... w kieszeni u kaftana....

Dalej mówić nie mogła, wpadła w odrętwienie zdające się być dokładnym śmierci obrazem; Różia zaczęła ją trzeźwić, odpięła kaftan, a ciekawa gospodyni sięgnawszy ręką do kieszeni, wydobyla dość duży woreczek napełniony nowymi błyszczącymi talarami.

— Patrz Róziu! zawołała: co tu picieńczy! nie mało do domu zanieziesz.... ale... może też to jeszcze nie śmiertelna choroba; gdyby zawołać lekarza?...

Różia nie znając nigdy choroby ze słyszenia tylko znała lekarzy, lecz wiedziała że ludzie ci poświęcają się dla ulżenia cierpień swym bliźnim, że nie raz mogą ocalić życie co się już bliskiem końca zdaje. Za ledwie więc gospodyni wspomniała o lekarzu, dziewczynka zaklęła ją aby wezwała z nich którego; przyszedł, wy badał stan chorej, i przepisał lekarstwo. W kilka godzin polepszyło się Agacie, lecz nie na długo; słabość jej wzmagala się lub ustępowała na przemiany, tak że sam lekarz nie mógł nic stanowczego

wyrzec. Rózia podawała staruszce lekarstwa i przepisane napoje, dobywała z woreczka talar po talarze, spodziewając się że przecież zdrowie swój opiekunce powróci; błagała o nie Boga szczerze i gorąco, lecz wszystko na próżno. W piętnaście dni po przybyciu do Lugdunu, strapiona Rózia płakała przy zwłokach Agaty, a właścicielka gospody zajęła się pogrzebem.

Kiedy złożywszy w ziemi szczątki staruszeki, gospodyni wróciła z Rózią do domu, zaczęła przed nią składać rachunek z wydanych pieniędzy, i wyliczyła tak dokładnie że z owego woreczka co miał dziewczynce wynagrodzić doznane trudy i przykrości, ani grosza nie zostało. Dziewczę nie bardzo uważało na mowę gospodyni, lecz gdy ta kończąc porachunek, rzekła:

— Są tu jeszcze podróżne suknie nieboszczki; gdybyś mi je chciała przedadź, dałabym ci talara... z temi pieniędzmi mogłabyś albo wrócić domu, albo zejść do Paryża....



Różia wyszła z odrętwienia, zamysliła się, po chwili przystawszy na żądanie gospodyni, wzięła talara za odzienie kilka razy tyle wartujące, i opuściła smutnie gospodę.

Za domem był nie wielki ogródek zielniejszy już od wiosennego powietrza, Różia usiadła na murawie i znów rozmyślać zaczęła; mając talara, mogłaby z wielką oszczędnością wrócić do Sabaudyi, trudniej daleko byłoby się dostać do odległego Paryża, nie znając drogi, nie mając schronienia gdzieby w tém wielkiem mieście spocząć mogła; radość rodziców, uściśnienia rodziny za jej powrotem, nęciły serce Rózi do domu, lecz kiedy wspomniała jak trudno ojcu wszystkich wyżywić, jak matka ogołociła się prawie z odzienia byle ją przyzwoicie wyprawić, nie śmiała wrócić pod spokojną strzechę, i poleciwszy się Bogu postanowiła iść tam, gdzie mimo trudów trosk i niewygody mogła cokolwiek zarobić.

Postanowiwszy co ma czynić, wróciła do gospodyni, pożegnała ją, wzięła swoje za-

winiątko pod rękę, prosząc o wskazanie drogi do Paryża i zmienienie talara na drobną monetę, a gdy jej życzeń dopełniono puściła się w podróż.

Przeszła rogatki Lugdunu, minęła jedną i drugą wioskę, gdy doszła do trzeciej zmierzchać się zaczęło, stanęła więc pod najlichszą chatką prosząc o nocleg. Mieszkańcy tych okolic przywykli do częstych odwiedzin małych Sabaudzkich wędrowców, przyjmują ich gościnnie i mile; właściciele chatki do której Rózia zapukała nieśmiało, chętnie się z nią skromną wieczerzą podzieliwszy, za posłanie wskazali pęk świeżej słomy rozłożonej w kącie izby; ztrudzona Rózia niebawem smacznie zasnęła.

Obraz starzej, dobrej Agaty tak przytomny pamięci dziewczynki, przedstawił się jej we śnie; widziała staruszkę na śmiertelném łożu, bładą, smutną, z błagalną postawą wyciągającą do niej rękę; sen ten mógł być skutkiem strudzonej wyobraźni, lecz pobożni i zabobonni Sabaudczycy, mo-

cniej jak każdy inny lud wierzą w ukazywanie się duchów, a Rózia napojona tém przekonaniem obudziła się z pewnością: że widziała w rzeczy samej Agatę wzywającą jęj pomocy. Ledwie więc ranek zaświtał pożegnała z wdzięcznością swoich gospodarzy, zapytała o najbliższy kościółek, zakupiła w nim mszę żałobną za spokojność duszy Agaty, modliła się z serca za nią i spokojniejsza poszła dalej.

Zanocowała znów o mil kilka; sen poprzedniej nocy raz się jeszcze powtórzył; dziewczynka opowiedziała go gospodyni; ta nie tyle pobożna i wierząca odpowiedziała jęj znaném przysłowiem „*sen mara*,« i radziła resztę pieniędzy na dalszą podróż zachować; lecz Rózia przypomniała sobie równie znane przysłowie »*sny pochodzą od Boga*,« rozważyła że to co jęj zostawało z zmienionego talara było puścizną Agaty, do której jako obca żadnego nie miała prawa, i w piérwszym kościele wypróżniła zu-

pełnie woreczek na drugą mszę za duszę zmarłej staruszki.

Na trzecią noc spała spokojnie, i wzmo-  
cniła się w przekonaniu, że dopełniła powin-  
ności, obracając na święty cel nie należące  
do niej pieniądze. Podróż wszelako co raz  
wolniejszą i przykrzejszą się stawała; do-  
póki Różia miała cokolwiek w kieszonce,  
śmieliej prosiła o obiad, nocleg, lub wicze-  
rzę, bo gdyby jej tego odmówiono darmo,  
mogłaby zapłacić; lecz teraz czując że za-  
leżała zupełnie od dobroczynności tych do  
których wstępowała, stała się nie śmiałą,  
nieufną, patrzyła przód w twarz osoby do  
której przemówić miała, i dopiero jeżeli  
w niej łagodny wyraz spostrzegła, prosiła  
nie o pożywienie, lecz o robotę, chcąc tym  
sposobem nagrodzić garść słomy i kawałek  
chleba; bo nie wyszło jej jeszcze z pamię-  
ci napomnienie ojca, żeby nie żebrać, i to  
tylko od drugich przyjmować, co opłacić lub  
odrobić będzie mogła.

W prawdzie rzadko jej odmawiano cze-  
go żądała, nie raz opatrywano w żywność

na dni kilka, nie raz kilka liardów w rękę wsunięto; lecz nie raz też zdarzyło się przykre usłyszyć słowo, bo mieszkańcy miast i wiosek będących bliżej Paryża, mniej są tkliwi jak ci co żyją z daleka od niego; więcej mają zajęcia, widok nędzy i cierpienia częściej uderza ich oczy, oswoili się więc z nieszczęściem, i nie tyle się spieszą z pomocą. Biedna Różia im bliższa celu swojej wędrówki tém smutniejszą i nieśmielszą się stawała; kiedy w końcu przeszedłszy rogatki Paryża ujrzała ciasne ulice, wysokie domy, ludzi, koni, powozy, snujące się we wszystkie strony i potracające się wzajemnie, gdy widząc każdego spieszącym i zajęтым pomysłała: że między tylu ludźmi nikogo nie ma znajomego, że niepodobna prosić o robotę lub wsparcie dla biednej podróźnej, tych co się sami w ciągłej podróży bydź zdają, żal i smutek ścisnął jej duszę, a ów piękny, świetny, upragniony Paryż wydał się ciemnym i ponurym.

Przeszła kilkanaście ulic, wszędzie zgiełk i tłum ludzi, co chwila musiała ustępować z drogi przechodzącym i przejeżdżającym, lecz za każdym prawie krokiem nowy widok uderzał jej oczy; wspaniałe ubiory i powozy, bogate sklepy, rzadkie, nieznane biednej Sabaudce kwiaty i owoce w ogromnych stosach wystawione na sprzedaż. Tu i owdzie młody jej ziomek z koszem na głowie biegł za płacącym mu Paryżaninem, lub z szczotką i małą ławeczką w ręku czekał rychło mu kto zabłocone obuwie do oczyszczenia poda. Na widok każdego Sabaudezyka serce Rózi mocniej biło, lecz nie śmiała przemówić do żadnego, nie znała ich, i spodziewała się że może jeszcze kogo z swojej wsi zobaczy. Tymczasem wieczór nadchodził, Rózia była głodną, w koło niej snuły się kobiety z ciastkami i owocami; przysmaczki których dotąd nie zakosztowała jeszcze, wzbudzały mocniej jej apetyt, sięgnęła ręką do kieszeni, znalazła w niej miedziaka i kupiła sobie ka-

wał czarnego chleba. Nasyciwszy się, znowu zaczęła przebiegać ulice, oswojona już trochę z wrzaskiem Paryża, z większem zajęciem i ciekawością przyglądała się dziwnym, niewidzianym dotąd rzeczom. W Sabaudyi, kiedy słońce zaszło za góry, błądy księżyc mile wprawdzie oświecał śniegi, ale tu zupełnie było inaczej; księżyc jak wszędzie płynął spokojnie po niebie, lecz każdy pałac, każdy dom, każdy sklep pochodniami i lampami oświecony piękniej się jeszcze niż przy dniu wydawał; przy każdym powozie latarnie gorzały, na rogach ulic pod jasnemi rewerberami stali chłopcy przegrywający śliczne tańce na niewielkich skrzyneczkach, lub ludzie pokazujący przechodniom zabawne figurki w tak zwanych szopkach, czyli czarodziej-skich latarniach.

Różia zmęczona, odurzona wszystkiem co przez cały dzień widziała, uczuła że czasby jej odpocząć; nie śmiała wejść do żadnego domu, lecz noc była ciepłą i pogodną, za-

wróciła się więc na ciasną ciemną uliczkę, bo tam ciszej i spokojniej było, przyklękła za węglem muru, odmówiła wieczorną modlitwę, pozdrowiła myślą rodzinę, i złożwszy głowę na swoim zawiniątku zasnęła snem młodości.

Wstające słońce zbudziło młodą Sabaudkę; powstała, złożyła pobożnie ręce dziękując Bogu za nowy dzień życia, lubo nie wiedziała jeszcze jak go przeżyć będzie mogła, poprawiła pstrą chusteczkę okrywającą gęste jasne jej włosy, otrząsnęła cały ubiór z kurzu, i nachyliła się po swoje zawiniątko, gdy niespodziewanie, gruby lecz łagodny głos uderzył jej ucho:

— Bóg z tobą dzieweczko! Rózia spojrzała na przeciwko. We drzwiach wąskiego lecz wysokiego domu, stała niemłoda kobieta, w zielonej spódnicy, białym fałdzistym fartuchu z szeroką rumianą twarzą, otoczoną czystym i wielkim czepcem. Kobieta ta trzymając na każdej ręce kosz owoców zajmowała całą sień domu; Rózia



przywykła do zręcznych Sabaudzkich postaci z zadziwieniem patrzyła na nią, lecz łagodny wyraz twarzy i uśmiech na ustach przemawiającej, miły miały wpływ na dziewczynkę, która w Paryżu pierwsze uprzejme odbierała powitanie; odpowiedziała więc na nie wesoło; otyła zaś kobieta która widziała wstającą i modlącą się Rózię, zaczęła jej wypytywać z zajęciem zkąd by była, i dla czego nocowała na ulicy? Rózia skromnie i otwarcie opowiedziała całą swoją historję, a dobra kobieta otarłszy sobie oczy po kilka razy, rzekła:

— Gdyby ci też teraz kto dał robotę i schronienie, byłabyś wierną i wdzięczną?

— Ah gdyby!... ale któż mnie przyjmie?... nie znam tu nikogo.

— Posłuchaj moje dziecię; nie jestem ja bogata, jednakże nie sypiam pod gołym niebem, i dzięki Bogu głodną się spać nie kładę, jeżeli więc chcesz żyć ze mną, podzielę się z tobą wszystkim co posiadam....

Różia uszczęśliwiona dziękowała najczulej dobrej kobiecie; która wyjąwszy z kieszeni kawał sera i białego chleba, dała to dziewczynce na śniadanie, i tak mówiła dalej.

— Pójdź ze mną; przez drogę powiem ci jakie będziesz miała zatrudnienie, bo słońce już jasno świeci, a chcąc co przedadź trzeba zejść kawał Paryża. Jak widzisz moja Róziu nie jestem już młoda; nie mam dzieci ani krewnych, muszę więc sama pracować na swoje wyżywienie; prawda że mi nie zbywa na niczém, ale téż kiedy się nachodzę po bruku, nawspinam po wschodach, namęczę przeciskając się między powozami, i przyszedłszy do domu nie mam z kim pomówić, to mi się i pościel twardą i wieczerza niesmaczną zdaje. Tyś młoda moje dziecię, koszyk pomarańcz nie utrudzi cię bardzo, będziesz mnie więc wyręczała w roznoszeniu owoców po domach i bulwarach;... ale pamiętaj żebyś się nikomu oszukać nie dała, bo tu u nas nie mało jest niepocziwych ludzi.

Rózia od tej chwili stała się domowniczką, a raczej przybraném dziecięciem dobrej pomarańczarki; za kilka tygodni poznała cały Paryż; zręczna, rzetelna, uprzejma dla kupujących przedawała dwa razy tyle co sama Bertrandowa (tak się zwała kupcowa owoców), wróciwszy zaś do domu gotowała wieczerzę dla staruszki, a zapewniwszy się że jej na niczem nie zbywa, śpiewała sabaudzkie piosnki, lub uderzając w dłonie tańczyła skoczne góralskie tańce.

Bertrandowa zadowolona z starań dziewczynki i z podwojonej przedaży, wyznaczyła jej pięć franków na miesiąc; Rózia nie wydawała z nich ani grosza, składała talar do talara, ciesząc się że wkrótce będzie mogła tyle posłać rodzicom.

Przebiegając ulice i przedmieścia poznała wszystkie znaczniejsze budowy; wstępowała zawsze tam gdzie od niej kupowano owoce, lecz mało ją obchodziło nazwisko kupującego, tém mniej jego godność; idąc za radą Bertrandowej nie wdawała się ni-

gdy w rozmowę z nieznanymi, nie wiedziała więc zupełnie jakie było wtedy położenie Francji. Jeszcze w domu słyszała że w niej nie było króla jak w innych krajach, że francuzi zbrodnictwem uniesieni popędem, skazali na śmierć Ludwika XVI. łagodnego i dobrego monarchę; Robert opowiadał o tém swym dzieciom, bo słyszał że i ukochany pan jego, generał Beauharnais zginął za sprawę nieszczęśliwego króla. Rózia nie zastanawiała się bynajmniej czy żyje w królestwie czy w rzeczypospolitej; lecz pewnego rana kiedy obiegłszy kilka ulic stanęła pod bramą pałacu *Tuilleries* gdzie codzień przedawała pomarańcze, szczególny widok uderzył jęj oczy.

Niezliczone mnóstwo karet, powozów, koni stało na dziedzińcu i przed kratami, wszystko slniące od złota, przepyszne, bogate; żołnierze stojący dwoma rzędami tworzyli niejako mur żywy i świetny, bo na twarzy każdego widać było dumę i radość; za niemi mieszczenie Paryża w świątecznych strojach

cisnęli się i wznosili jedni nad drugich zwracając ciekawe spojrzenie na próżną przestrzeń pomiędzy wojskiem, jak gdyby oczekiwali nadzwyczajnego jakiego widowiska. Rózia nie mogąc się dostać do pałacu, szła w stronę w której coraz liczniejsze tłumy się zbierały; okna wszystkich domów ozdobione kwiatami i kobiercami pełne były ciekawych; dziewczynka spytała jednej z tłoczących się kobiet, coby to wszystko znaczyło?

— Co to znaczy?... a z kądżeś to przybyła moje dziecko?... czyliż nie słyszysz odgłosu dzwonów?... nie widziszże armat gotowych na powitanie dnia tak uroczystego?...

— Słyszę i widzę, nie wiem jednakże dla jakiej to wszystko przyczyny.

— Z kimże ty żyjesz biedne dziewczę, kiedy nie wiesz że dziś namaszczenie i koronacya naszego cesarza.

— Namaszczenie?... koronacya?... czy to bydz może?...

— Może nawet nie wiesz co to znaczy?

— O wiem wiem! dawniej, jak mój ojciec powiadał, ludzie natchnieni od Boga obierali Królów aby uszczęśliwiali narody, namaszczeni ich olejem Świętym, koronowali, i ustanawiali namiestnikami Stwórcy. Ale... myślałam że we Francyi nie ma ani króla ani proroków.

— Słusznie mówisz... potwierdził z uśmiechem stojący obok mężczyzna: nie mamy króla lecz cesarza, i nie prorok ale papież koronować go będzie.

— Papież?... wszakże on w Rzymie mieszka? a to od Paryża daleko...

— Tak jest; jednakże przyjechał tu umyślnie na koronację Cesarza *Napoleona*.

Różia lubo zdziwiona, nie śmiała pytać więcej, wstydziała się że nie wiedziała o zdarzeniu co tak żywo nie tylko miasto lecz i kraj cały zajmować się zdawało; ale wołana tu i owdzie przez widzów czekających od dawna, sprzedając pomarańcze jedną po drugiej dowiedziała się, że wtedy gdy Fran-

cja zaburzona domową niezgodą i zagrożona od sąsiadów do upadku się zbliżała, Napoleon Bonaparte odniósłszy ważne zwycięstwa w Egipcie, we Włoszech i Niemczech, wrócił w tryumfie do Paryża, a Francuzi wdzięczni mu za to, obrali go swym rządcą z tytułem pierwszego konsula. Później, waleczność i geniusz Napoleona podniósł upadły charakter Francuzów; obudził ich szlachetność i odwagę, wspierał nauki, opiekował się rolnictwem, słowem jak po śmierci Ludwika XVI imie Francuza dreszczem przejmowało każdego, tak pod przewodnictwem Napoleona stało się godnym sławy, szacunku i powszechnego uwielbienia.

Za tyle dobrodziejstw mogłaż się Francja szlachetniej odplacić, jak wynosząc do Cesarskiej godności tego, co dla jej szczęścia i chwały, własne szczęście i spokojność poświęcił?

Żołnierze czekając w porządku na przejazd Cesarza rozmawiali o nim; ten uwiel-

biał jego odwagę i przytomność w bitwach, ów uprzejmość z jaką do każdego przemawiał; tamten dziwił się troskliwości i pamięci o najdrobniejsze potrzeby podwładnych; a Rózia przeciskając się z swoim koszykiem, ciągle słyszała imię Napoleona z najżywszem powtarzane uniesieniem.

Zwolna doszła aż do kościoła Panny Maryi uważając na wszystko, ażeby za powrotem opowiedzieć to Bertrandowej, która od kilku już tygodni słaba, mało z domu wychodziła. Do samych drzwi docisnąć się nie mogła, lecz usłyszawszy podwójny odgłos dzwonów, huk dział, i głośniejszy nad to wszystko okrzyk: *Niech żyje Cesarz!* przedarła się aż do szeregu żołnierzy co wolne otaczali przejście, i z pod ich ramion poglądała na pyszny orszak książąt i księżniczek w złoto klejnoty i aksamity przybranych; widziała ogromną karetę przez ośm koni ciągnioną, wszystkie jej ściany z kryształu w złote ramy oprawne, wewnątrz piękny mężczyzna z śliczną niewia-



stą, oboje w purpurowych złotem haftowanych płaszczach, a twarze ich tak miłą i pogodną jaśniały powagą, że choć koron na głowach nie mieli, łatwo w nich każdy poznał Cesarza i Cesarzową.

Radosne okrzyki napełniały powietrze gdy *Napoleon* i *Jozefina* weszli pod starożytne sklepienie kościoła; tłumy ciekawych coraz ciaśniej się skupiały, Rózia nie mogła się cofnąć, musiała więc pozostać w miejscu i nie mając na co patrzeć, słuchała rozmowy osób otaczających ją w około. Byli pomiędzy nimi tacy co lubo stali przed drzwiami, rozpoznawali po dźwięku dzwonów, milczeniu, lub odgłosie muzyki, co się działo wewnątrz kościoła.

— Teraz Cesarz zstępuje z tronu... zbliża się do wielkiego ołtarza... Papież przemawia do niego... namaszcza go... kładzie mu koronę na głowę... ale czemuż jeszcze tak cicho?... ah! to Cesarzowa pewno idzie ku Ojcu Świętemu... co to musi być za widok!... tyle księżniczek niosących jej su-

knię... ona pierwsza z monarchini francuzkich namaszczoną będzie, bo też godna tego; taka dobra, łagodna, tak miłosierna dla biednych... a teraz... ah jakże piękną bydz musi... teraz przyklęka i z rąk małżonka odbiera cesarską koronę!...

W tej chwili mury kościoła zabrzmiały odgłosem śpiewów i uroczystej muzyki, powietrze wstrzęsło się powtarzanym okrzykiem: niech żyje Cesarz! Obrządek się skończył, lud zwolna rozchodzić się zaczął, i Rózia zadumana wróciła do domu.

Oddała niespokojnej już o nią Bertrandowej pieniądze za dobrze sprzedane popomarańcze, opowiedziała wszystko czego świadkiem była, lecz od tej chwili nieznanne dotąd uczucie napełniło jej serce; powzięła głęboką cześć dla tych dwojga ludzi, których cały naród wielbił i błogosławił; a do codziennej modlitwy dodała prozbę o długie lata i pomyślność Cesarstwa.

Rok prawie upłynął od chwili w której Rózia opuściła Sabaudję, nie jedną wprawdzie łzę po niej wylała, nie jedną noc spędziła bezsennie w tęsknocie za rodziną, ale też miała już pięćdziesiąt franków, i wkrótce jeden z jej ziomków wracający do domu, miał je oddać smutnym zapewne i niespokojnym o nią rodzicom.

Pocziwe dziewczę nie posiadało się z radości myśląc, ile pożytecznych rzeczy przybędzie za te pieniądze w ubogiej chacie Roberta, lecz też ta tylko myśl uprzyjemniała jej życie, bo obowiązki młodej Rózi coraz cięższymi się stawały. Bertrandowa ciągle słaba mało wychodziła z swjej izdebki na poddaszu, dziewczynka więc za nią i za siebie biegać i przedawać musiała; chcąc zmniejszyć jej kłopotu i wydatku, sama chodziła do ogrodów skupować owoce, sama je wielkimi kosztami zносиła do domu, wstawiała raniiej, później wracała, nie opuszczczała najdalszych okolic miasta byle jak można najwięcej pieniędzy przy-

nieść swojej dobrodziejce. W całym też Paryżu znano ładną jasnowłosą Sabaudkę, byli i tacy co jej radzili porzucić Bertrandowę i na własną korzyść przedawać owoce, bo tym sposobem nie na miesiąc ale na dzień mogła by pięć franków zarobić; lecz Rózia oburzała się na samą myśl tak czarnej niewdzięczności, i coraz mocniej przywiązywała się do dobrej staruszki co ją w najtrudnijszém położeniu wsparła i prawie za własne przybrała dziecię.

Coraz baczniejsza, młoda pomarańczarka poznała już zwyczaje Paryżan, wiedziała która strona miasta w ten lub ów dzień więcej uczęszczaną bywa, i tam niosła swój towar.

Na wiosnę, ulubioném miejscem przechadzki osób wyższego stanu było *Long-champs*; prześliczna okolica Paryża; tam się zbierało to wszystko co tylko za bogate wytworne i świetne uchodziło; tam więc

i Rózią poszła ze swoim koszykiem. Stała w miejscu gdzie najczęściej osób przechodziło i przejeżdżało, i przypatrywała się przepysznym powozom, bogatym sukniom ładnym kapeluszom zdobiącym głowy przejeżdżających pań i panien. W jednym z piękniejszych powozów siedział mężczyzna i trzy damy; cztery prześliczne konie ledwie dotykając ziemi unosiły ich szybko, gdy nagle jeden przestraszony czemś wspina się, bije nogami, potraça swoich towarzyszy, wszystkie cztery w szalonym pędzie wybiegają z szeregu którego się jadący trzymali, i pianą okrywając wędzidła grożą zupełnem roztrzaskaniem powozu. Będący w nim mężczyzna ubrany w mundur pólkownika strzelców, z założonemi na piersiach rękami siedział spokojnie i poglądał na woźnicę śledząc każde jego poruszenie; dwie kobiety z krzykiem załamywały ręce, lecz trzecia, lubo jak chusta biała, milczała i udawała odwagę; tylko gdy lekki powóz szarpany

podskokami koni zdawał się przewracać, uchwyciła ręką za drzwiczki jakby je otworzyć chciała, a w tej chwili złota przepaska zdobiąca jej ramię spadła w miążki piasek. Rózia stojąca o kilka kroków z przerażeniem poglądała na ten okropny widok; twarze przejeżdżających mignęły tylko przed jej oczyma, jednakże zdawały się już gdzieś widziane, a nawet znane od dawna.

Wszyscy prawie widzowie pobiegli za unoszonym powozem, a młoda Sabaudka zostawszy sama nad drogą tak ludną i świetną przed chwilą, spostrzegła w piasku zgubioną bransoletkę i podniosła ją; był to złoty poczwórny łańcuszek spięty prostą zapinką w której zamiast kosztownego kamienia, były pod kryształem osadzone dwa pierścienie jasnych i ciemnych włosów. Rózia przypatrzywszy się ładnemu klejnotowi i nie śmiejąc nikogo obcego pytać o radę co by z nim zrobić, poniosła go do Bertrandowej.

Wszedłszy na poddasze, zastała dobrą staruszkę rozmawiającą z owym Sabaudczykiem, który wracając do kraju miał z sobą zabrać zapasy Rózi; skoro usłyszał o klejnocie znalezionym przez dziewczynkę, obejrzał go ciekawie, i rzekł:

— Dobrze ci się wiedzie moje dziecko! dostaniesz za to najmniej trzydzieści franków, będziesz mogła więcęj posłać rodzicom.

— Jakto? wszak to nie moja własność? trzeba ją będzie oddać właścicielce.

— A gdzież ją znajdziez? myślisz może po całym Paryżu chodzić od domu do domu i pytać czy kto nie zgubił złotej bransoletki? łatwo byś znalazła takiego co by się przyznał do zguby! wreszcie... gdyby to była rzecz bardzo kosztowna, możnaby czekać czy o niej woźni, lub pisma publiczne nie ogłoszą; ale taka drobnostka!... wierz mi Róziu, ja znam Paryżanki... żadna z tych co się w *Longchamps* w świątecznych powozach i wytwornych ubiorach

przejeżdżają, nie postrzeże nawet straty wynoszącej zaledwie kilkadziesiąt fr.

Rozia potrząsnęła głową.

— Nie! rzekła: tak zyskanych pieniędzy nie przyjął by mój ojciec; nie przedam bransoletki.

Alé gdy Sabaudczyk wyszedł, a Bertranda spać się położyła, Rózia usiadłszy podług zwyczaju przy oknie, zamyśliła się o swoich górach, rodzicach, rodzinie, o ich niedostatku, o tylu przedmiotach na których im zbywało. Za pięćdziesiąt franków nie wszystko by mieć mogli... lecz jeszcze trzydzieści... to prawie skarb w ubogiej Sabaudyi... spojrzała na bransoletkę, gdyby ją przedadź?... ostatnie słowa ojca, owa uroczysta przysięga w kościółku stanęła jej w pamięci; uklękła, odmawiając pacierze z głębi serca powtórzyła: „Nie wódź nas na pokuszenie.“ powstawszy zaś schowała znaleziony klejnot do skrzyneczki, a nazajutrz usłużny ziomek Rózi tylko pięćdziesiąt franków i serdeczne pozdrowienia zabrał dla jej rodziców.



Minął czas jakiś, Rózia wyręczając ciągle swoją opiekunkę zapoznała się prawie z wszystkimi ogrodnikami w okolicach Paryża, najczęściej zaś kupowała owoce w *Malmaison* o kilka godzin drogi od miasta, gdzie ogrodnikowi Cesarzowej wolno było część jakąś na swoją korzyść sprzedawać.

Pewnego razu młoda Sabaudka przybywszy do *Malmaison* zastała ogrodnika w wielkim kłopotcie o ananas, bo w owych czasach ananasy bardzo były rzadkimi w Paryżu, i tylko w ogrodzie Cesarzowej Jozefiny znajdował się budynek umyślnie na ich hodowanie urządzone. Rodzina Cesarza Napoleona była liczną, każdy jej członek zasiadał później na tronie, lecz dopóki wszyscy przebywali w Paryżu, zbierano się w Niedzielę na obiad do pałacu *Tuilleries* lub do *Malmaison*, gdzie Cesarzowa mieszkać lubiła. Zebrania te tém miłszemi były, iż dostojna gospodyni wszelkich dokładała starań aby gościom uprzyjemnić chwile w jej domu spędzone. Ma-

tka Napoleona, *Letycja* Bonaparte była szczególnie ciałem tkliwych starań synowej; wiedząc jak lubiła ananasy, nie szczędziła kosztów byle przyspieszyć dojrzewania pięknego tego owocu, i wreszcie, w czasie w którym nietylko w Paryżu lecz i w cieplejszych okolicach Francji trudno by było o niego, naczelny ogrodnik oznajmił z tryumfem Józefinie, iż przepyszny ananas ozdobi niedzielne wety. Co dzień po kilka razy odwiedzał owoc nabierający co raz piękniejszego złotego koloru, z rozkoszą poglądał nań jako na dzieło swych zachodów i zręczności, lecz kiedy w Sobotę Rózia przyszła do *Malmaison* chcąc próżny swój koszyk na dzień następny napełnić, biedny ogrodnik rwał sobie włosy, załamywał ręce w rozpacz, bo ów ananas obiecany Cesarzowej, został był rankiem strąconym z łodygi, i prawie rozgniecionym na ziemi.

Nie podobna było dojść czy się to stało przypadkiem czy skutkiem czyjej złości, lecz biedny ogrodnik w największym

smutku powtarzał że oddał by chętnie półroczną swoją płacę, byle nazajutrz mógł dotrzymać danego słowa, i przynajmniej jaki taki ananas posłać na stół Cesarski.

W skutek tego zmartwienia Rózia nie mogła się dokupić niczego, strudzona i zniechęcona wróciła do Paryża. Nazajutrz rano obiegając domy gdzie u niej codziennie kupowano owoce, zatrzymała się w przedpokoju Kommandantowej miasta pani *Junot*. Podczas gdy szafarka przebierała w Koszyku Sabaudki, panna służąca weszła do przedpokoju niosąc na kosztownym kryształowym talerzu wielki żółty owoc z prześliczną koroną z długich zielonych liści na wierzchu.

— Otóż rozwiązanie wczorajszej zagadki; rzekła stawiając talerz na stole.

— Jakto! spytało kilka osób będących w przedpokoju.

— Ten ananas przyszedł wczoraj z *Dijon* w owym starannie zapieczętowanym pudełku, nad którym tyleście sobie głowy na-

suszyli... Było też co przysyłać o mil tyle!...

— Zapewne!... rzekła szafarka, wszakże w Paryżu za żadne pieniądze nie dostanie takiego ananasa.

— I cóż ztąd? Pani nie tylko że tego owocu nie lubi, lecz nawet zapachu jego znieść nie może; kazała mi go zabrać czém prędzej i zrobić z nim co mi się podoba.

— Dziwactwo! rzekła szafarka.

— Cóż nam do tego odparł kredencierz, to my go zjemy za Pani zdrowie.

— Pomału!... rzekła z uśmiechem panna służąca, ananas ten do mnie należy, a jeżeli tak jest rzadkiem jak mówicie, to doprawdy wolę go przedadź niż zjeść... Róziu!... nie znasz kogo co by mi dał dwadzieścia franków za ten owoc?... bo mi tyle do nowój sukni brakuje.

— Jeżeli Panna nie żartuje to ja go sama kupię.

— Ty?

— Ja.

— Dasz dwadzieścia franków?

— Dam.

— Zaraz?

— Nie, bo nie mam tyle przy sobie, ale je jutro rano przyniosę.

Zawarto ugodę; pokojówka знаła rzetelność Sabaudki, powierzyła jej więc owoc bez pieniędzy, a dziewczynka poniosła go z radością do *Malmaison*. Poczciwy ogrodnik wybierał się właśnie ze łzami do pałacu aby odwołać dane przed kilkoma dniami przyrzeczenie, i ścisnęło mu się serce myśląc: że Cesarzowa słusznie zmarszczy czoło przeciw staremu słudze. Gdy więc ujrzał śliczny ananas w koszyku zbliżającej się do niego Rózi, podskoczył z ukontentowania, ścisnął, całował owoc i dziewczynkę przyrzekając jaką tylko zechce zapłatę; położył go w koszu osobnym, ozdobił kształtnie liściem i kwiatem, odniósł sam do pałacu, i oddawszy w ręce *Józefiny* otrzymał od niej wdzięczny uśmiech w nagrodę.

14\*

Uszczęśliwiony, powrócił do młodej pomarańczarki, pytając o cenę ananasu. Różia wyznała że dała dwadzieścia franków za niego.

— Oto masz sześćdziesiąt! zawołał ogrodnik, a jeżeli ci się mało zdaje, to powiedz...

Sabaudka z wdzięcznością przyjęła pieniądze; lecz prosiła ogrodnika aby jej pozwolił pozostać gdzie w kąciku z kąd by się mogła Cesarzowi i Cesarzowej przypatrzeć;

— Bo, dodała: kiedy przejeżdżają przez miasto to ich tyle osób otacza że ich i dojrzeć nie można.

Ogrodnik zezwolił chętnie na żądanie Rózi, postawił ją przy żelaznej kracie dzielącej zwierzyniec od ogrodu przez którą wszystko widzieć było można.

Po skończonym obiedzie całe towarzystwo wyszło do ogrodu, Różia otoczona mnóstwem domowników przypatrywała się ciekawie pięknym ubiorom pań i panów, lecz próżno upatrywała aksamitnych zło-

tem haftowanych płaszczów cesarskich, nie było ich; uważała tylko że wszyscy z uszanowaniem zbliżali się i przemawiali do niskiego, młodego jeszcze człowieka w szarym długim surducie i okrągłym kapeluszu, który uśmiechał się uprzejmie, klepał czasami po ramieniu tego lub owego generała, lub go z lekka brał za ucho, a każdy z wyrazem prawdziwego ukontentowania przyjmował te oznaki przychylności nad którymi się Rózia dziwiła niesłuchanie.

Tuż obok kraty przy której stała ciekawa Sabaudka wznosił się wzgórek żelazną krawędzią i drewnianemi otoczony ławkami; zasiadło na nich kilkanaście pań, wszystkie prawie piękne i bogato ubrane, lecz wszystkie także okazujące uszanowanie dla jednej, której strój cały składała biała suknia i ryżowy kapelusz; Rózia patrzyła na nią przez chwilę; ta piękna twarz była jej znaną; zdawało jej się że to ta sama osoba, co na przejazdce w *Longchamps*

bransoletkę zgubiła, lecz nie była pewną swego mniemania. Tymczasem rozmowa w ogrodzie coraz żywszą się stawała, goście rozeszli się po ulicach, wesołe głosy i śmiechy dochodziły aż do kraty, nakoniec głos cokolwiek przytłumiony zawołał.

— Lasek! lasek! niech nam tu kilkanaście flasek przyniosą!...

W tej chwili mężczyzna w szarym surducie wszedł na wzgórek, i skinieniem ręki zaprosił damy do ogrodu; większa ich część zbiegła pochyłą ulicą, lecz kilka z nich zostało około tej co była w białej sukni, i co na zaproszenie niskiego mężczyzny wstrząsnęła tylko głową z uśmiechem. Wtedy nieznajomy zrzucił szary surdut i okrążył kapelusz, a Różia ujrzawszy go w mundurze półkownika strzelców nie wątpiła już że to ten sam co w *Longchamps* tak spokojnie siedział w powozie szarpanym przez rozhukane konie. Cieszyła się w duszy że przecież znalazła właścicielkę bransoletki, bo i rysy siedzącej damy coraz wyraźniej



stawały jej w pamięci, jednakże z zajęciem poglądała na wszystko co się działo w ogrodzie; panowie i panie uzbrojeni białymi laskami zebrali się w wielkiej ulicy, rozpoczęła się gonitwa i walka, w której wygrana zależała na zręcznym wytrąceniu oręża z rąk przeciwnika. Mała pomarańczarka nie mogła się nacieszyć tym widokiem, nigdy dotąd nie widziała tyle świetnych, bogatych osób bawiących się tak ochoczo, i rozumiała w prostocie serca, że wesołość jest tylko ubogich udziałem.

— Jaka szkoda! rzekła do stojących obok siebie: że Cesarstwo nie patrzy na tę zabawę.

— Jakto nie patrzy?... odrzekł młody ogrodniczek; wszakże Najjaśniejsza Pani siedzi tu na ławce, a sam Cesarz najzręczniejsz laski wytrąca.

— Gdzie?...

— Gdzie!... ot tam na środku, w strzeleckim mundurze.

Rózia krzyknęła, tak jej się nie pojętém zdawało, aby ten człowiek na którego cały świat z podziwieniem poglądał, który o szczęściu tylu milionów ludzi troskliwe miał staranie, mógł jeszcze znaleźć dość czasu i chęci do wesołych, dziecinnych prawie igraszek.

Wykrzyknienie Sabaudki zwróciło uwagę Józefiny, bo w samej rzeczy ona to pod owym prostym ubiorem siedziała na wzgórku; przechyliła się na poręczy, a widząc błękitne oczy dziewczynki zwracające się z wyrazem uwielbienia to na nią, to na Cesarza, przemówiła łagodnie.

— Pewnie mię pierwszy raz widzisz dziewczeczko, że mi się tak ciekawie przyglądasz.

— O! nie! rzekła Rózia nie spuszczając z oczu Józefiny.

— Nie przypominam sobie jednak, rzekła Cesarzowa zajęta otwartością i prostotą co się na twarzy dziewczęcia malowała; nie pamiętam gdzieśmy się widziały.

— Bardzo wierzę!... bo też stałam w takim tłoku!...

— I gdzież przecie? zapytała jeszcze rozśmieszona Cesarzowa.

— Raz, w dzień koronacyi... o! nie zapomnę go nigdy w życiu... a potem w *Long-champs* kiedyś pani bransoletkę zgubiła.

— Widziałaś ją?...

— Podniosłam, i oto jest... dodała Rózia wyjmując klejnot z za sukni gdzie go od niejakiego czasu nosiła w nadziei że znajdzie tę do której należał.

Na znak Józefiny otworzono kratę zwierzynca, i wpuszczono dziewczynkę do ogrodu; Cesarzowa odebrała z radością swą własność i poglądając tkliwie na zawarte pod kryształem włosy, rzekła do siedzącej obok siebie pani.

— Patrz Hortensjo! te dwa zwitki włosów do których tyle ceny przywiązuje... ah! jakżem szczęśliwa że do mnie wróciły!...

— Wszakże jest jeszcze dość włosów na mojej i Eugenjusza głowie... odpowiedziała Hortensja z uśmiechem.

— Prawda; ale wiesz jak często ważną wróżbę w drobnych widzę wypadkach; ile mnie kosztowało gdy portret Eugenjusza twoją ręką skreślony spłonął przez nienwagę służących.

— Bo też Eugenjusz i jego włosy mają szczęście do Sabaudczyków... rzekł z uśmiechem Cesarz, który się właśnie zbliżył do Józefiny.

— O tak! w dzieciństwie jeszcze poczciwy Sabaudczyk obronił go od psa szalonego.

Różia po drugi raz krzyknęła mimowolnie; wszystkich oczy zwróciły się na nią; zapytana od Cesarzowej o przyczynę zdziwienia, odpowiedziała nieśmiało że jej ojciec ocalił także młodego swojego pana od psa rozżartego;

— Ale, dodała: był to pan Eugenjusz Beauharnais...

— To on! to mój syn! zawołała Cesarzowa; co za szczególne zdarzenie!... a twój ojciec czy żyje jeszcze?

Rózia wypytywana przez Józefinę opowiedziała całą swoją historję; Napoleon słu-chał jej uważnie, a gdy skończyła rzekł:

— Więc nasza rodzina dłużną jest ojcu tego dziecięcia; pamiętaj Józefino że kto Eugeniusza ocalił, ten niepowinien żyć w nędzy, i swoje dzieci o kilkadziesiąt mil po kawałek chleba wysyłać.

Cesarzowa nie dała sobie tego dwa razy powtarzać, pieściła młodą Sabaudkę, zapewniła że odtąd ani jej ani rodzicom na niczém zbywać nie będzie, a ponieważ wieczór się zbliżał, poleciła jednej z dam co ją otaczały, aby młoda Rózia już na tę noc została wygodnie pomieszczoną w *Mal-waison*.

— Nie Pani! rzekła dziewczynka; ja jeszcze dziś muszę być w Paryżu. Bertrando-wa nie wstaje z łóżka, nie miał by jej kto wiesz przyrzadzić.

Józefina pochwaliła zamiar Rózi, i skinąwszy na stojącego u kraty ogrodnika pozwoliła się oddalić Sabaudce. Jeszcze Ró-

zia nie uszła kilkudziesięciu kroków, gdy ją poczciwy staruszek dogonił, i poprowadzwszy na dziedziniec, wsadził do pięknego, czterema końmi zaprzęzonego powozu, usiadłszy obok niej, dał znak woźnicy, i ruszyli jak strzała. Z początku kręciło się dziewczynce w głowie, bojaźliwie chwyciła ręką za drzwiczki powozu, lecz oswoiwszy się cokolwiek z tym szybkim lotem, zaczęła wypytywać ogrodnika, jakim sposobem Eugeniusz Beaucharnais jest Cesarским synem.

Dowiedziała się że ojciec jego generał Beauharnais zginął na rusztowaniu za to, że nieszczęśliwemu swemu monarsze przywiązanie i wierność okazywał, a wdowa jego Józefina została w kilka lat później zaślubioną Napoleonowi Bonaparte, który dwoje jej dzieci przybrał za swoje.

Gdy się powóz zatrzymał przed mieszkaniem Bertrandowej, ogrodnik odprowadził Rózię aż na górę, i oznajmiwszy staruszcze iż Cesarzowa bierze dziewczynkę pod swoją opiekę, pożegnał obiedwie, przyrzekając nazajutrz rano powrócić.

Różia cały wieczór spędziła na opowiadaniu wszystkiego co widziała i słyszała; położywszy się oka zmrużyć nie mogła z radości że ją tak niespodziane szczęście spotkało; dziękowała Bogu gorąco iż ją wsparł wtedy gdy walczyła z sobą, i wahała się czyby przedać czy schować znalezioną bransoletkę. Jakże jej teraz sownie nagrodzona owa pamięć przestroóg ojca! rozrządziwszy cudzą własnością, czyliżby śmiała wzniesć oczy na Cesarzową, lub do niej przemówić?

Nazajutrz podług przyrzeczenia, stary ogrodnik zajechał znowu po Rózię, oddał Bertrandowej 200 franków od Cesarzowej, aby mogła sobie przyjąć jaką dziewczynkę do usług, i starać się o polepszenie zwątlonego zdrowia. Różia uściskała ze łzami dobrą pomarańczarkę, przyrzekła że ją często odwiedzać będzie, zabrała maleńki tłomoczek i wsiadła do powozu. Przejeżdżając około mieszkania Pani Junot, prosiła swego towarzysza aby kazał stanąć i oddała pan-

nie służącej dwadzieścia franków za ten ananas, co się tyle do jej szczęścia przyłożył.

Tego samego dnia dziewczynka była w *Malmaison* jak w rodzinnym domu; dworzanie i domownicy widząc dobroć Cesarstwa dla niej, ubiegali się o to, kto więcej pieścić i dogadzać będzie szczęśliwemu dziecięciu, oprowadzano ją po przepysznych pokojach, obsypywano zabawkami, przysmaczkami, strojono w kosztowne suknie, lecz Różia wolała zawsze prostą Sabaudzką spódniczkę i kaftanik, powtarzając że nie chce nosić ubioru w którym by jej rodzice poznać nie mogli. Xiężna Ludwikowa chwaliła zdanie dziewczynki, a nawet odmalaowała ją w narodowym stroju; polubiła ona bardzo Rózię, i chciała się sama zająć jej ukształceniem; wdzięczna Sabaudka uczyła się wszystkiego co jej kazano, lecz w kilka tygodni dostojne jej opiekunki spostrzegły, że rumiane lica dziewczynki bladnąć i chudnąć zaczęły; żywe jej oczy straciły dawny swój wyraz, i pochyliła się smutnie



jasnowłosa główka. Cesarzowa z wrodzoną sobie dobrocią pytała o przyczynę tej zmiany, lecz próżno; chcąc przynajmniej pocieszyć zmienione dziecię, powiedziała jej: że wydano już rozkaz aby Robert Kolin pobierał tysiąc franków rocznej pensyi, i aby mu w której zechce okolicy kupiono dom z polem i ogrodem.

— Polecenie to dodała Józefina: dziś lub jutro odesłaném będzie do notariusza w mieście najbliższém waszego mieszkania; ty zaś Róziu, zostaniesz w *Malmaison*, wszak ci tu dobrze? . . . .

Łzy wdzięczności spływały z oczu dziewczęcia podczas mowy Józefiny, lecz gdy ostatnie wyrzekła słowa, Rózia uklękła przed nią i błagalnie składając ręce rzekła:

— Ach Pani! odeszlęj i mnie do Sabaudji! . . . . mnie tu tak duszno, tak tęszno do domu! . . .

Cesarzowa zrozumiała serce dziewczynki, i przyrzekła spełnić jej życzenie.

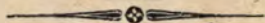
Nazajutrz Rózia odwiedziła Bertrando-  
wę, znalazła ją nierównie zdrowszą, opo-  
wiedziała swoje szczęście; staruszka pomy-  
ślawszy chwilkę spytała czyby nie mogła  
razem z nią jechać do Sabaudji?

— Nie mam tu nikogo, dodała: praco-  
wać długo nie mogę, w waszym kraju zdro-  
we jest powietrze i poczciwi ludzie; nie  
będą mi żałowali kąta w jakiej chacie? . . . .  
a na życie starczy tego com przez czter-  
dzieści lat zebrała. . . . .

Wróciwszy do *Malmaison* Rózia spyta-  
ła Najjaśniejszej swojej opiekunki czy się  
będzie mogła zabrać do domu z poczciwą  
pomarańczarką, i uzyskawszy na to pozwo-  
lenie, opatrzona pieniędzmi, przysmakami, o-  
dzieżą, puściła się w drogę wygodnym po-  
człowym powozem. Dobrodziejstwa Cesa-  
rzowej poprzedziły ją do chaty rodziców.  
Łatwo sobie wyobrazić z jaką radością  
powitano wracającą Rózię, jak mile przyję-  
to dobrą Bertrando-  
wę; ile wieczorów mi-  
nęło w dostatnim domu Roberta na słucha-

niu powieści o Paryżu, a nadewszystko o dobrej Cesarzowej, której imię dotąd z najwyższą wdzięcznością i uwielbieniem wspominają jego mieszkańcy.

Wspomnienie pocziwój Rózi lubo nie tak długo, pozostało jednakże w Malmaison, bo jeszcze po śmierci Józefiny widziano w ulubioném jej mieszkaniu, obraz młodej jasnowłosej dziewczynki w Sabaudzkim ubiorze malowany ręką słodkiej i tak wczesnie zgasłej Królowej Hortensyi.





## K O P A L N I E.

---

**W** kilka lat po wyjściu mojem z domu, kiedy już zwolniał smutek co mnie zeń wypędził, a pogodne niebo południowych krajów uleczyło prawie moją duszę, wraz z wzmagającemi się siły uczułem chęć odetchnienia ostrém północy powietrzem, co tyln bohaterów piersi wznosiło. Pragnąłem osobliwie! poznać | potomków owych da-

wnych Skandynawów, których czyny i obyczaje tak nam niedokładnie w swoich pieśniach Skaldowie przekazali. Chciałem się przekonać czy istnieją jeszcze ślady owęj prostoty i surowości, owęj nieugiętości charakteru, z którą dawni tamtych stron mieszkańcy, poświęcali na ołtarzach swych bogów nietylko własne mienie i życie, lecz wszystko co im nad nie droższem było jeszcze.

— Zwiedziłem *Kopenhagę, Sztokholm, Upsalę* i ich okolicę, wszędzie widziałem pomniki nauk i oświaty, nigdzie prawie najmniejszej różnicy od reszty Europy. Poznawszy, że tym sposobem nie osiągnę mego celu, wziąłem (jak już nie raz) kij wędrowny w rękę, i sam, pieszo, po nad dzikimi morza brzegami, puściłem się ku północnej Norwegji. Nie obawiałem się zbłądzenia; po nad licznymi zatokami rozrzucone tu i owdzie rybackie chaty, nie kiedy wioski całe, zapewniały mi posiłek, wytchnienie, w razie zaś potrzeby i przewodnika.

Po wyszukanych i zbytkowych mieszkaniach stolic, niskie, skopciałe, z okrągłych drągów stawiane chaty Norweskich wieśniaków, miały dla mnie cały powab nowości i niezwykłości. Religija ich lubo chrześcijańska, jest dziwną mieszaniną katolickiej, protestanckiej, i pogańskiej wiary. Światło prawdziwie boskiej nauki dość późno przeniknęło w te strony, i łagodząc obyczaje, zaszczepiając w sercach nieznane dotąd cnoty, nie wytępiło wszelako zadawnionych, śmiesznych, lubo nie szkodliwych przesądów dawnego wyznania. Reforma tak gwałtownie rozpościerająca się w oświeconej Europie, doszła rzadko do której z prostych tutejszych osad; lecz gdzie się ukazała, zamiast wzbudzać spory i niesnaski, łączyła się z poprzednio wyznawaną religiją. Z czasem wszystkie tak się w jedną całość zlały, że teraz Norwegczyk co rano śpiewał litanię na cześć Boga rodzicy, wieczorem nuci psalmy z protestanckiej biblji, a w nocy, kiedy ptak wodny pluśnie po

morzu, wierzy mocno że to Norna lub Stromman, dawne duchy wodne, starannie ukrywając sieci i wędy, aby czarowne tych istot spojrznie, nie rzuciło na nie szkodliwego uroku.

Im dalej postępowałem, tém obyczaje wydawały mi się prostszemi, gościnność szerszą i otwartszą; chciałem przedrzeć się jak można było najdalej, chciałem jeszcze poznać mieszkańców ogromnych lasów, lecz nie śmiejąc się własnemu domysłowi wśród ich odwiecznych zarośli powierzyć, pragnąłem wziąć przewodnika. Było to w okolicach *Smiasenu*, najstarszego z Norweskich borów, gdzie jak czytałem nieraz, miały jeszcze być gdzie nie gdzie pomniki dawnych druidyckich ołtarzy; zdziwiłem się wszelako nie pomału, kiedy w kilku chatach napróżno o przewodnika w tamtą stronę pytałem, kiedy za znaczną nawet nagrodę, żaden z rybackich chłopaków nie chciał mi towarzyszyć.

— Dla czegoż? pytałem zdziwiony?



— Bo w zaroślach *Smiasenu*, odpowiada-  
no mi: w tych zwaliskach które pan zwie-  
dzić pragniesz, *elfy*, *watiry*, i *lygtegubery*  
obrały sobie siedlisko. Są to leśne duchy;  
często przy świetle księżyca tańczą po gę-  
stwinie boru, a biada temu kto im prze-  
szkodzi, mógłby największe choroby i nie-  
szczęścia na całą swoją rodzinę sprowadzić.

Przy tych wyrazach każdy żegnał się  
pobożnie, i już sądziłem że sam jeden bę-  
dę musiał w dalszą iść drogę, kiedy w o-  
statniej pod lasem chacie, spotkałem spo-  
czywającego po długiej podróży młodzień-  
ca. Obcisły kaftan z łosiej skóry, krótko  
przystrzyżone włosy, grube podkute bóty i  
strzelba na ramieniu, oznaczały że to był  
raczej strzelec jak rybak, a uśmiech niedo-  
wierzenia z jakim słuchał odpowiedzi go-  
spodarzy, przekonały mię, że albo był od  
nich oświeconszym, albo w inną mieszkał  
okolicy; bo tam każda prowincja, każda  
niemal wioska ma właściwe sobie, a różne  
od sąsiednich zabobony.

— Ja pana przez *Smiasen* przeprowadzę; rzekł: prawda że to trochę z drogi, lecz może też przechodząc uda mi się dużą jaką sztukę zastrzelić; a gdyby i nie, miejsza o to!

Przyjąłem ofiarę młodego strzelca; równo z świtem wybraliśmy się ku lasowi, albo raczej ku puszczy której ramiona rozciągają się na mil kilkanaście. Dobrzy rybacy pod których dachem przepędziliśmy noc poprzedzającą, pożegnali nas ze łzami, wyczerpawszy na próżno całą swoją wymowę, na odradzenie nam wyprawy, przez którą jak im się zdawało mieliśmy wielkie jakie nieszczęście ściągnąć na siebie.

Im więcej oddalaliśmy się od mieszkań rybackich, tém dzikszą i smutniejszą barwę wszystko w koło nas przybierało; jesienne słońce ledwie kiedy nie kiedy z za ponurych chmur wyglądając, niechętnie oświecało kredziaste wzgórza, a stary posepny *Smiasen* jak czarny nieprzebyty mur, rozciągał się przed nami. Niemiłe uczucie opanowało mię w tej samotni, otuliłem się pła-

szcem przed świszczącym wiatrem, i równie jak mój towarzysz długi czas postępowałem w milczeniu. Dopiero stanąwszy w pierwszych zaroślach odwiecznego boru, młody strzelec uczuł się w swoim żywiole, i opowiedział mi ochoczo: że się nazywa Olaw, że sierota od dzieciństwa wychowanym był przez rybaka mieszkającego pod Orolandem, że później upodobawszy sobie stan strzelca, co raz częściej zapuszczał się w lasy, i w końcu jako w najkorzystniejszym do tego miejscu, osiadł u stóp gór Köhlen, tuż pod miastem Stackelstadt, gdzie mu za skóry z ubitych zwierząt dobrze płacono.

— Teraz, mówił dalej Olaw poprawiając futrzanej czapki: teraz już i moja chata nie świeci pustemi kątami; idę odwiedzić starego Greeda, i przypomnieć mu że mi córkę w małżeństwo obiecał, jak tylko własny dom mieć będę.

Wśród ciemnych sosen i jodeł, wśród nieprzebytej niekiedy gęstwiny, wędrówka moja przyjemną jednak była; Olaw znał wszystkie zakąty *Smiasenu*, oprowadzał mię śmiało po zwaliskach dawnych świątyń. Podczas kiedy się przypatrywałem pokruszonym kolumnom, i ogromnym głazom co niegdyś za ołtarze służyły, po których pod nożami druidów krew ludzka strumieniem się toczyła, teraz zaś mchem porośłe, na pół w ziemię wtłoczone przedstawiały obraz olbrzymów, co za życia srogością mimowolną cześć wrażali, a po śmierci celem pogardy się stają: podczas kiedy na pół zatar-te napisy porównywałem z owém pismem runickim, o którym tyle rozpraw czytałem w młodości, rączy i silny strzelec uganiał się za białym lisem lub czarnym niedźwiedziem, i najczęściej kiedy sądząc się o jedno odkrycie bogatszym, opuszczałem zwaliska, Olaw szedł na przeciw mnie z świeżo zdartą skórą na ramieniu, dumny i szczęśliwy że swojej narzeczonej złoży dowód zręczności, i nicodstępującego go szczęścia.

Przenocawaliśmy w chacie węglarza, a nazajutrz Olaw zapytał mię uprzejmie, czy wezmę przewodnika do dalszego zwiedzania *Smiasenu*, czy może wracając nad brzegi morza, zechcę z nim wstąpić do przyszłego teścia, i poznać ukochaną jego *Ildegertę*? Nie podróżowałem w celu naukowych badań, nie spieszyłem się nigdzie, przyjąłem więc chętnie zaproszenie Olawa, i znanemi mu ścieżkami wyszliśmy z boru około południa, lecz w zupełnie inném miejscu od tego, którém wstąpiliśmy do niego. Niebo zachmurzyło się do koła, drobny, gęsty deszcz padał już od kilku godzin, i na otwartej zewsząd przestrzeni nie mile nas przejmował; młody mój przewodnik skierował się więc ku brzegom leżącego w pobliżu jeziora *Sparbo*, bo w otaczających je skałach i jaskiniach łatwiej znaleźć schronienie; jakoż nie za długo, stanęliśmy pod ogromną, w szeroki łuk nad naszymi głowami zagiętą skałą, a nowe pole uwag i spostrzeżeń otworzyło się przed

nami. Olaw opowiadał mi że wody tego jeziora służą do hartowania żelaza, że broń dawnych Skandynawskich bohaterów musiała koniecznie być w niem zanurzana; że w ciemną noc, kto by śmiał stanąć na skał tych szczycie, dostrzegłby bladych ogni latających nad wodą.

— Są to, mówił żegnając się strzelec: są to dusze tych co za życia świadczyli fałszywie, lub co się dobrowolnie potopili w jeziorze.

Lecz nad wszystkie te dziwy, mocniej mię zajął sam widok jeziora; powierzchnia jego gładka i ciemna jak stalowe zwierciadło tak jest przejrzystą, że przy pogodzie okoliczne skały i grotty, o podal wznoszące się wzgórza, nawet chimury przesuwające się po niebie, jak najdokładniej w niej się odbijają; okolica tak jest poważną, milczącą i samotną, że niema zapewne człowieka, który by się tu nie uczuł przejętym głębokim religijnem uczuciem. Doznaliśmy tego obadwa, szczególnie zaś rozmówny

Olaw stopniowo coraz mniej rozprawił, nakoniec ucichł zupełnie i ręce pobożnie na piersiach założył.

Gdy deszcz zwolniał cokolwiek poszliśmy dalej; ściemniać się już zaczęło, kiedy brzeg morza drobnemi poszarpany zatokami, ukazał się naszym oczom. Przyspieszyliśmy kroku, Olaw im bliżej mieszkania Greeda, tém więcej o jego córce rozmawiał; niespokojnie obliczał co posiada, i porównywał swoje mienie z majątkiem rybaka, lecz niestety! za każdą rachubą uboższym się widział, nieśmielszym się stawał. Tym sposobem zbliżyliśmy się do pożądanego obudwom celu; xiężyc wydobywszy się z za szarych obłoków oświecał już leżącą w dali chałupę starego Greeda, która wystawiona z drągów do koła poutykanych w ziemię, i zbiegających się razem u góry, podobną była do mieszkań dzikich Indyan, i wzniesiła we mnie zdziwienie, jak mogą ludzie w tak lichej budowie szukać schronienia przed ciągłym w tych stro-

nach zimném, przed deszczem, śniegiem, i dzikimi zwierzęty. Zatopiony w tych uwagach nie postrzegłem jak zwolna blade światło księżycy rumienić się zaczęło, różowa barwa powlokła całą okolicę, stopniowo ożywiając i wzmagając się coraz, najpiękniejszą purpurą całe obłoki zalała; księżyc jak srebrna kula otoczony błękitnymi słupami, toczył się po tym przestworze; słowem, najświetniejsza północna zorza, ukazała się po raz pierwszy zdziwionym moim oczom. Stałem zdu miały; Olaw przywykły do podobnych widoków i upragniony końca podróży, szedł dalej wolnym krokiem, jak gdyby mi chciał dać poznać, że idąc to samo widzieć można. Nagle stanął także, z okrzykiem podziwienia i radości uderzył w dłonie. Spojrzałem ku morzu, bo na nie młody mój towarzysz zwrócił swe czarne ogniste oczy; po uśpio nych jego wałach, małeńka, jak wiatr lekka sunęła się łódka; kierowała nią młoda, dziwacznie ubrana dziewczica, w krótkiej,



opiętej futrzanej sukni, z jasnymi po ramionach puszczone włosami; i małym wioselkiem uderzając w wodę, zdawała się igrać tylko po jej powierzchni. Patrząc na to wdzięczne zjawisko, różowem zorzy światłem oblane, gotów byłem uwierzyć w istnienie owych wodnych duchów, o których się tyle nasłuchiwałem w tych stronach. Z podziwieniem patrzyłem na Olawa, który zamiast swoim zwyczajem objaśnić mi udział, poglądał z zachwyceniem na uroczę widziadło, dopóki za skalistym wybrzeżem nie znikło; wtedy odetchnął, a ściskając mi rękę rzekł z uśmiechem:

— To moja Ildegerta!... pewno śpieszy pomagać ojcu w zabranii całodziennego połowu..... Idźmy do chaty, zdziwią się za powrotem.....

Chata starego Greeda ubitą ziemią do koła pokryta, tworzyła trwałe i nieprzebyte przed deszczem schronienie; skóry psów morskich zamiast drzwi zawieszono uchyliły się na głos Olawa, i żona rybaka, zwa-

wa, czerstwa jeszcze kobieta, przycisnęła młodzieńca do serca jak własnego syna; gdy mię strzelec jako podróżnego i swego towarzysza przedstawił, gościnną rybaczką przysunęła ławę do ogniska, okryła ją skórą, i prosiła siedzieć.

— Głodni pewno jesteście, rzekła uprzejmie: przyrządzę wieszak, bo też mój pan i dziewczka niedługo powrócą.

To mówiąc zaczęła się krzątać po wszystkich kątach chaty, przerywając swoje zatrudnienie tysiącznemi pytaniami które Ola-wowi zadawała. Wieśniacy Norwegscy niezmiernie są baczni na wygodę i przyjemność swych gości, kiedy więc mówią z cudzoziemcem używają powszechnie szwedzkiego języka, lecz rozmawiając między sobą, mieszają sobie tylko znane wyrazy odwiecznej Skandynawów mowy, tak dalece, że nawet dobrze po szwedzku umięjącemu trudno ich rozumieć. Nie mogąc należeć do rozmowy, rozpatrywałem się w chacie o ile mi nie-pewny, czerwony płomyk torfu tlejącego

na ognisku dozwalał, i przekonałem się, że Greed do zamożnych rybaków należał.

W okrag przy ścianach rozciągniętém było miękkie posłanie z mchu i lichenu, na którym bliżej ognia rozesłane skóry, wskazywały miejsce spoczynku gospodarzy, dalej zaś ku drzwiom chrapały cztery tłuste reny. Na ścianach wisiały świąteczne suknie całej rodziny, sieci, wędy, rozmaite rybackie i gospodarskie narzędzia, a małe drzwiczki na boku, równie jak większe psią skórą zasłonięte, prowadziły do tak nazwanej przylepy, czyli małej komórki przeznaczonej na skład zapasów, i mieszkanie młodej Ildegerty.

Greed wróciwszy z córką do domu powitał uprzejmie młodego swego wychowanka; dziewczica domyślając się w jakim celu przybył, nie śmiała go jak brata uścisnąć, tylko w milczeniu zaczęła pomagać ojcu w znoszeniu do komórki ryb ułowionych, i matce w przyrządzaniu wieszery.

Na szerokiej ławie, zastawiono masło z tłustego renów mleka, rindebrod tak pulchny, jak tylko może być chleb wyrobiony z mialko utartej kory, suszoną przed ogniem wyzinę, i kawał wędzonego niedźwiedziego mięsa wielorybią tłustością zwilżony. Choć może pomiędzy nami nie znalazło by się wielu lubowników tych potraw, pod dachem Norweskich wieśniaków była to wspaniała uczta; przywykły do najokropniejszej w ich mieszkaniach nędzy, strudzony i wygłodzony, z prawdziwem ukontentowaniem zasiadłem do wieczerzy, i z rokoszą rozciągnąłem się potem na mchowym pościeliu, gdzie mimo hucznego koncertu który chrapiące moje gospodarstwo i ich reny rozpoczęły, sen twardy w krótkce skleił mi powieki.

Nazajutrz, Olaw oświadczył się Greedowi o córkę; stary rybak i jego żona przyjęli mile żądanie młodziana; nie przeciwiała się im dziewczica, i dzień ślubu wyznaczonym został za trzy dni, bo w tamtej okoli-

cy nie czynią do zaślubin wielkich przygotowań, a prócz tego młody strzelec spieszył się do domu, chcąc korzystać z ostatka jesieni, jako pory łowom najprzyjaźniejszej. Ciekawy obrzędu którego jeszcze w Norwegji nie widziałem, skłoniłem się chętnie do prózb gospodarstwa, i jeszcze na dni kilka zostałem w ich domu; dniem wychodziłem nad brzegi morza, wieczorem zaś siedząc przy ogniu słuchałem dziwnych powieści Greeda o morskich zjawiskach, jego żony powtarzającej stare skandynawskie sagi, lub Olawa i Ildegerty rozprawiających o szczęśliwej przyszłości która im się uśmiechała.

Nadszedł dzień uroczysty; od rana czynność, lecz i głębokie milczenie panowało w chacie; ojciec czyścił i wyporządzał małeńki wózek na którym czasami woził ryby do Oerolandu, starannie do niego wprzegając dwa najtłuściejsze reny; matka układała weń suknie z najpiękniejszych skór psów i cieląt morskich, grubą bieliznę dro-

go w mieście kupioną, zapas ryb wędzonych i suszonych, a w końcu baryłkę wielorybięj tłustości, (przysmak o który z daleka od brzegów morza nie tak miało być łatwo młodej gospodyni); Ildegerta nakoniec, staranniej jak zwykle uczesawszy jasne swoje włosy, przywdziawszy dłuższą, szerszą, i ozdobniejszą szatę, włożyła wieniec z lichenu na głowę, stare swoje odzienie zawiesiła w komórcie na pamiątkę rodzicom, i wyszła przed dom. Greed lubo od dawna w tém miejscu osiadły, nie miał krewnych, nie było więc gości prócz mnie, bo Norwegczyk nie obchodzi wesołą ucztą chwili w której ukochane jego dziecię pod obcą strzechę przechodzi, w której mu je na długo, a może na zawsze pożegnać wypada. Skoro więc Ildegerta stanęła przed drzwiami gdzieśmy już na nią czekali, pochyliła się do kolan rodziców, którzy ją po tkliwém błogosławieństwie z uściśnieniem podnieśli; potem uklękła przed chatą, a całując próg, czułemi wyrazy żegnała ten dach i ściany

co jej młodość oceniały, co ją chroniły od niebezpieczeństw i cierpienia; poleciła je pobożnie opiece niebios, powstała ze łzami w oczach, i wsiadła na przygotowany wózek; Greed podał rękę żonie, ujął reny za wodze, i puścił się drogą do kaplicy o miłą może od jego mieszkania odległej. — Ja z Olawem szedłem za wózkiem; całą przestrzeń przebyliśmy w głębokim milczeniu, przerwał je dopiero kapłan, który uprzedzony już przez Olawa czekał nowożeńców przed ołtarzem. Bez żadnych poprzednich formalności, obrzęd zaślubin odbył się podług przepisów katolickiego kościoła; a sługa boży zamiast przemowy odczytał kilka wierszy pisma świętego, które wszelako głęboko słuchających przejęły.

Wyszedszy z kaplicy, nowożeńcy przyklekli raz jeszcze przed rodzicami, raz jeszcze otrzymali ich błogosławieństwo, potem nowo zaślubiona siadła znów na swój wózek, Greed oddał Olawowi cugle renów mówiąc:

— Już teraz nie ja, lecz ty będziesz przewodnikiem mojego dziecięcia, strzeż ją i kochaj, jak my ją kochamy.

Łza rozczulenia stoczyła się po ogorzałej twarzy rybaka, Olaw postąpił kilka kroków;

— Ildegerto! bądź szczęśliwa rzekła zapłakana matka.

— Ildegerto! bądź cnotliwą jak twoja matka, dodał starzec.

Ildegerta wyciągnęła ku rodzicom ręce, i wkrótce zniknęła nam z oczu. Staruszkowie smutnie wrócili do domu, a ja pożegnawszy ich skierowałem się ku Sztokholmowi.

Nowożeńcy stanęli w kilka dni przed swoim domem; była to dość mocno i kształtnie zbudowana chata, gęsty las rozciągający się na około dostarczył materiałów na jej wystawienie; Ildegerta uśmiechnęła się do jej powierzchowności, lecz Olawa smutne ogar-



nęło przeczucie, bo drzwi dębowe które wychodząc zamkniętymi zostawił, ujrzał na pół otwarte. Wprowadził młodą małżonkę do izby, lecz ledwie próg przestąpili, oboje stanęli przerażeniem zdjęci. Najokropniejszy nieład panował w młodego strzelca mieszkaniu; stolki i ławy tak starannie jego własną wyrobioną ręką, naczynia gospodarskie kupione w Stackelstadzie, szczątki zapasów co nowemu gospodarstwu na całą zimę wystarczyć miały, wszystko to porozrucane na ziemi leżało, potłuczone, pokruszone; a ozdobna skrzynia przeznaczona na skład wyprawy Ildegerty, dopalała się na ognisku.

Olaw załamał ręce w rozpacz, widocznym było że kilka nieżyczliwych osób biadowało w jego chacie, lecz kto?... wprawdzie strzelcy mieszkający do koła zazdrościli nie raz trafności jego strzału, jednak żaden z nich nie posunął by się do naruszenia cudzej własności; chyba więc złośliwe, nieprzyjazne duchy....

Skoro pierwsze zdziwienie i przerażenie minęło, młode gospodarstwo zajęło się urządzeniem na nowo mieszkania; lecz próżno zbierali ułamki i skorupy, nic nie było całego, nawet resztki żywności nie były zdatne do użycia. Na chwilę opuścili ręce, lecz wnet wróciła im odwaga; Olaw pozosił do izby zapasy będące na wózku, i zgromadził mnóstwo suchych liści do koła ścian, jak było w chacie Greeda; Ildgerta wprowadziła ręce i pożyteczne reny, lecz nie było w co zlać ich mleka, tém mniej było można przygotować z niego masło i sery; strzelec więc zebrał pozostałe jeszcze w domu skóry i pobiegł przedadź je do miasta aby za zebrane pieniądze potrzebnych naczyń nakupić. W drodze usłyszał, że gromada rabusiów ukazała się w górach, że widocznie szli z głębi lasu, bo w każdej prawie samotnie stojącej strzeleckiej chacie, zostawili podobne jak u Olawa ślady swego przechodu. Na przyszłość nie było się już czego obawiać; w bliskości miej-

sca gdzie jak mówiono obrali sobie schronienie, szedł wielki gościniec, prędziej więc na bogatych podróżnych niż na ubogich lasu mieszkańców napadać będą.

Gdy młodzieniec wrócił do domu, gdy się w nim choć jakkolwiek urządzili, wróciła radość i nadzieja do jego serca; wszakże był jeszcze tym samym młodym i zręcznym Olawem, wierna strzelba dostarczy mu znów zwierzyny, w mieście znów skóry dobrze zapłaca, i jeszcze przed zimą będzie mógł Ildegertę przed niedostatkiem zabezpieczyć. Wkrótce jednak przekonał się jak mylne są ludzkie rachuby; próżno od rana wychodził do lasu, próżno zwiedzał znane sobie knieje, próżno się w najniedostępniejsze zarośla przedzierał, zwierzęta zdawały się przed nim umyślnie uciekać; każdy strzał niegdyś niechybny, trafiał teraz tylko w suche gałęzie, i co wieczór z pustymi rękami powracał do domu.

Ildegerta witała go z uśmiechem, lecz uśmiech ten był wymuszonym, bo tyle sobie

szczęścia, tyle dostatków obiecywała, a teraz prawie groziła jej nędza. Zapasy przywiezione z domu rodziców wyczerpały się wkrótce, mleko renów było jedynem młodego małżeństwa pożywieniem; już nawet Olawowi nabojuw zabrakło, a kupić ich nie było za co, chyba by co przedadź trzeba... lecz w całym domu nie było przedmiotu któryby jakąś wartość posiadał prócz sukien Ildegerty. Poświęciła je ona w milczeniu, lecz kiedy nabyte za nie naboje ciągle nie trafiały do celu, kiedy w niedzielę poszedłszy do kościoła ujrzała że wszystkie żony strzelców i górali lepiej niż ona ubrane były, nie mogła się od łez wstrzymać, a Olaw po raz pierwszy z ust jej gorzkie usłyszał wyrzuty. Zasepiło się jego oblicze, cały wieczór dumiał ponuro przed ogniskiem, nazajutrz wyszedł o świcie, wrócił o północy; jeszcze z niczem, lecz już po raz ostatni.

Odtąd szczęście zdawało się do niego uśmiechać na nowo, ile razy wyszedł na ło-

wy ubijał mnóstwo zwierzyny; nie wracał z nią do domu, niósł wszystko do miasta, i dopiero pieniądze przynosił żonie. Niedługo znikły ślady nędzy w chacie Olawa, napełniły ją ozdobne sprzęty, przybyło kilka renów, odzienie Ildegerty, piękniejszem i bogatszem było niż wszystkich sąsiadek, nawet łańcuszek złoty zajaśniał na jej białej szyi. Uśmiechała się radośnie młoda kobieta ile kroć co nowego do domu przybyło; już się tylko obawiała rabusiów, których śmiałość co dzień głośniejszą się stawała, lecz Olaw na każde takie wspomnienie marszczył brwi ponuro, a Ildegerta nie oswojona jeszcze z dzikim wyrazem co się od niejakiego czasu na jego twarzy malował, zaczynała prawie żałować nędzy wśród której pokój, swoboda, i wesołość niekiedy, przebywały pod jej strzechą.

Rozmaite okoliczności zatrzymały mię przez czas jakiś w Sztokholmie; poznałem się tam i zaprzyjaźniłem z baronem D... szambelanem dworu, i głównym nadzorcą kopalni w obudwu Królestwach; zawdzięczając ważne odebrane od niego przysługi, podjąłem się chętnie towarzyszenia mu w objeżdżaniu górniczych zakładów, których jeszcze nie zwiedzał w tym roku. Przebywszy część Szwecji, zwróciliśmy się ku wybrzeżom Norwegji, gdzie przed niedawnym czasem wykopano kilka ametystów, i teraz pracowano aby nabydź pewności czy się tam tylko przypadkiem znalazły, czy też natrafiono rzeczywiście na ametystową żyłę.

Główne i najtrudniejsze prace odbywały się w Nolden, gdzie ciągła potrzeba pompowania wody, wciskającej się z bliskiej zatoki, podwajała jeszcze przykrości na które górnicy są zwykle wystawieni. Litowaliśmy się nad tymi biedakami, którzy dla lichego zarobku wyrzekają się dobrowolnie widoku słońca, czystego powietrza, słowem

najpiękniejszych darów natury, zamykają się w łonie ziemi, i rzadko nawet swoją odwiedniają rodzinę. Dozorca kopalni słysząc nasze ubolewania oznajmił nam, a raczej mnie, że wszystkie prawie roboty w *Nolden* wykonywane są przez winowajców skazanych na więzienie, którzy tu pracując, przez wzgląd na trudy i niebezpieczeństwa na które są wystawieni, otrzymują znaczne skrócenie naznaczonej kary.

— Dziś właśnie, dodał: mają ich przywieść kilku.

Jakoż wyszedłszy z kopalni, i chcąc świeższym odetchnąć powietrzem, zbliżywszy się do brzegów zatoki, ujrzelśmy wielką łódź posuwającą się ze smutnymi skazanymi; zatrzymaliśmy się dopóki nie stanęła w przystani, i... jakże opiszę moje zdziwienie, gdy w najmłodszym z nich poznałem Olawa, owego zięcia starego poczciwego Greeda, owego ochoczego strzelca z pod Kōlen! Na twarzy jego nie malowała się dzikość, ani ponura rozpacz jak na obliczach jego

towarzyszy, lecz owszem pokorne, spokojne poddanie się losowi; czuł że zasłużył na karę, przyjmował ją bez szemrania jako jedyny sposób zgładzenia swęj winy.

Nie śmiałem go badać, lecz Olaw poznawszy mię, sam opowiedział: że nie mogąc znieść widoku Ildegerty cierpiącej niedostatek, połączył się z bandą rabusiów, co w przechodzie jego chatę zniszczyli; że schwytany na uczynku, skazanym został na dwa lata robót w kopalni *Nolden*.

— A Ildegerta?... spytałem wzruszony losem człowieka którego przed pół rokiem, enotliwym i szczęśliwym sądziłem.

— Ildegerta wróciła do rodziców; za dwa lata jeżeli Bóg pozwoli jeszcze będę młodym i zdolnym do pracy; może zdołam nową sobie wystawić chatę, może i *ona* znowu do niej wstąpi, bo wszakże przez dwa lata jej nie widząc, dosyć za moją winę odpokutuję.

Z jego ust dowiedziałem się o wszystkim co wam o powodzeniu młodego małżeństwa



opowiedziałem poprzednio, lecz musieliśmy przerwać rozmowę, bo właśnie nadeszła na Olawa kolej spuszczenia się w podziemne mieszkanie. Dziwiło mię to że z każdym prawie przestępcą przybyła żona, rodzice, lub dzieci, każdego żegnały łzy i uściśnienia przy rozstaniu się z dziennym światłem, jeden tylko strzelec z pod Kölen samotnie opuszczał ziemię, jego tylko oko rzucając na nią ostatnie na długi czas spójrzenie, nie spotkało wzroku ukochanych osób, a jednak Hdegerta powinnyby pamiętać że mąż dla niej tylko, dla dogodzenia jej życzeniom i próżności zszedł był z drogi cnoty.

Baron D... który wraz zenną słuchał opowiadania Olawa, polecił dozorczy aby się z nim łagodniej jak z innymi obchodzono, i większe o nim miano staranie; potem, rozmawiając o widzianych dopiero przedmiotach, podeszliśmy znowu ku zatoce, i tam niespodziewany uderzył nas widok. Na małej łódce trzy osoby zmierzały szybko do brzegu; krzepki choć już nie młody

mężczyzna kierował lekkim statkiem, a wysmukła postać kobięca usilnie wiosłem pracując, widocznie chciała bieg jego przyspieszyć. Gdy do brzegu przybili, młoda kobięta wyskoczyła lekko z łodzi, i nie czekając dopóki sternik drugą postać na ląd wysadził, rączym krokiem pobiegła ku stronie, gdzie liczne zebranie ludu wskazywało jej miejsce spuszczenia winowajców. Żadna z trzech świeżo przybyłych osób nie spojrzała na mnie w przechodzie, lecz bez trudności poznałem w nich Greeda, jego żonę i córkę, choć twarze staruszków smutek i troski licznięjszemi pokryły zmarszczkami, choć świeże lica Ildegerty zbladły i zwiędły przed czasem, a żywe niebieskie oko łzy i bezsenność przyćmiły.

Wróciłem znów z barożem D.... ku studni którą spuszczano robotników; Ildegerta właśnie stała przed nadzorcą, czekając dopóki nie przeczyta wręzonego mu przez nią papieru; było to urzędowe pismo wiel-

ką opatrzone pieczęcią, i w tych prawie słowach zawarte. —

*Jan hrabia Griffenholm Królewski rządca  
Christiansandu, do nadzorca kopalni  
w Nolden.*

Na własne żądanie Ildegerty córki Gree-  
da z Oerolandu, a małżonki Olawa z pod  
Stackelstadt, udziela jej się pozwolenie zstą-  
pienia do kopalni w Nolden, i zamieszka-  
nia jednej z górniczych komórek, z dostar-  
czeniem potrzebnej żywności, aż do czasu  
w którym ją sama opuścić zechce«.

Nadzorca przeczytał głośno ten rozkaz,  
a wzrok wszystkich przytomnych zwrócił  
się z podziwieniem na młodą kobietę, któ-  
ra widząc że jej przedsięwzięciu nic na prze-  
szkodzie nie staje, rzuciła się w objęcia sta-  
rych swoich rodziców. Łzy zalały wszy-  
stkich oczy, stary Greed odwrócił głowę i  
rzekł z cicha:

— Ildegerto! namyśl się jeszcze!

— Mój ojczy! namyśliłam się od dawna; tu moje mieszkanie dopóki Olaw w nióm będzie.

— Dziecię moje! rzekła matka w rozpaczy: pomyśl o starych twoich rodzicach, co sami bez podpory, bez pociechy zostaną!....

Ildegerta uklękła przed matką, wzięła ją za rękę, i tłumiąc gwałtowne wzruszenie rzekła.

— Matko! pamiętasz słowa kapłana co mię Olawowi poślubiał? »Opuścisz ojca i matkę, a udasz się za mężem twojego wyboru«.

— Tak! przerwała łkając matka, ale nie do kopalni!....

— Ja go do nich wtrąciłam!... ja zamiast znosić cierpliwie nędzę, śmiałam mu ją wyrzucać; przezemnie stracił on spokojność, wolność i dobre imię, a jednak jeszcze mię kocha, wiem że jeszcze widzieć mię pragnie. Kiedy więc nie będzie mógł widzieć nieba, morza, ani ulubionych lasów, kiedy cały

dzień bez wytchnienia pracować będzie, niech przynajmniej czasem ujrzy twarz przyjazną, i głos życzliwy usłyszy.

Powstała mówiąc te słowa; na jej twarzy przebijało się tak mocne postanowienie, że rodzice nie śmieli się jej dłużej przeciwiać; uścisnęli ją tylko w milczeniu, Ildegerta postąpiła szybko ku studni, siadła na sznurową ławeczkę, i w mgnieniu oka zniknęła z powierzchni ziemi.

Starzy rybacy raz jeszcze sami wrócili do chaty, smutniejsi niż pierwszą razą, lecz cieszyli się nadzieją, że Ildegerta nie długo do nich powróci; baron D.... twierdził że takie postanowienie ze strony kobiety nie potrwa długo; ja sam dzieliłem to zdanie, i lubo niedługo opuściłem Szwecję, dowiadywałem się listownie o losie Olawa i jego żony. Całe dwa lata nie opuściła ona kopalni; żona nadzorcy polubiła ją bardzo, używała jej często do lżejszych zatrudnień około żywności i innych potrzeb robotników, nad którymi czuwać było jej obowiązkiem; ła-

two więc pojąć można że byt Olawa o tyle był złagodzoną o ile to tylko bydz mogło. Nie raz, kiedy silny młodzian znużony ciężką pracą opuszczał na chwilę ramiona, drobna ręka Ildegerty chwytala drag lub motykę, byle mąż nagany nie usłyszal; kiedy zaś wieczorem robotnicy zebrali się w wielkiej sklepionej przy samem wyjściu leżacej sali, aby o ile można najblizej być świata, młoda kobieta śpiewala im rybackie piosenki, opowiadała Norweskic sagi, przytaczała cieszace pisma Sgo wyrazy, a nieszczęśliwi zapomniawszy na chwilę cierpienia, dziękowali niebu że im swego anioła zesłało; wstrzymywali się od rozpacz i szemrania, widząc że tak słaba, wątła istota dobrowolnie się poddała losowi, który oni za surową uważali karę. Tak więc Ildegerta poświęcając się na osłodzenie nieszczęścia męża, znalazła sowitą za to nagrodę, bo przez dwa lata swego w Nolden pobytu, więcej cierpień złago-

dziła, więcej serc napełniła pociechą, niż by ich może przez całe życie spotkała, mieszkając w spokojnej chacie Greeda nad morskiem wybrzeżem, lub w leśnym pod Kölen zarośnię.

Warto

Wstęp	5
Stary Wiedrowitz	7
Machka	15
Sarna Przędka	22
Zakład	29
Silwanika	107
Współnie	129





# SPIS RZECZY.



	Karta.
Wstęp . . . . .	5.
Stary , Wędrowiec . . . . .	7.
Macocha . . . . .	15.
Nocna Prządka . . . . .	47.
Zakonnik . . . . .	73.
Sabaudka . . . . .	107.
Kopalnie . . . . .	177.

BIBLIOTEKA  
M. Nowy Świat 12  
00-230 W. Grodzka  
Tel. 26-82 25-82 26-82

SPIS TREŚCI



**INSTYTUT  
BADAŃ ... PAN**

**Biblioteka  
ul. Nowy Świat Nr 72  
00-330 Warszawa  
Tel. 26-66 33, 26-62-31 w. 42**





<http://rcin.org.pl>

F  
1634